№ 35. Warszawa, dnia 28 (16) Sierpnia 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

JUBILEUSZ FILOZOFA.

Tylko w naszym wieku, który mieczem przekreślił wszystkie niemal dotychczasowe znaczenia wyrazów moralnych i nadał im inne, tylko w kraju, którego naród zuchwale i szydercze dopełnił tej korekty, mogły zabrzmieć te słowa w setną rocznicę śmierci Fryderyka W.: „duch jego był przepełniony najwyższemi ideami." Słynny badacz dziejów filozofii greckiej, profesor uniwersytetu berlińskiego, E. Zeller napisał nawet na tę uroczystość osobną książkę p. t. *Fryderyk Wielki jako filozof.* Istotnie, ten — według słusznego określenia *Gazety polskiej* — „fałszerz prawdy i monety" zajmował się filozofią, a głównie — o ironio! — etyką. Dlaczegożby do tej świątyni nie mieli wchodzić obłudnicy z dwiema miarami, przekupnie, pijący wino a sprzedający wodę, lub wreszcie przemytnicy występku? Czy jej drzwi nie powinny się otwierać, gdy przed niemi staje człowiek ukoronowany z takiemi zasadami:

„Już mnie zmęczyło panowanie nad niewolnikami.

Sądzę, że każdy król, którego polityka dąży tylko do wzbudzenia bojaźni, panuje nad niewolnikami; nie może on od swoich poddanych spodziewać się wielkich przedsięwzięć, gdyż wszystko, co się rodzi z trwogi i tchórzostwa, nosi na sobie ich znamię.

Gazety nie powinny być krępowane.

Monarcha jest tylko pierwszym sługącym swojego państwa.

Złe dosięga swojego szczytu, gdy przewrotnym umysłom uda się wmówić w panującego, że jego interes nie zgadza się z interesem jego poddanych.

Niema uczucia tak nieodłącznego od naszej istoty, jak uczucie swobody.

Podjęcie wojny jest krokiem tak ciężkim i ważnym, że niepodobna pojąć, jak łatwo wielu królów nań się decyduje. Jestem pewien, że gdyby monarchowie znali prawdziwy obraz nędzy, w jaką jedno wypowiedzenie wojny strąca narody, nie mogliby nigdy rozpoczynać jej obojętnie."

Powtarzamy — czy filozofia, nie znając czynów tego baranka, mogła nie zapisać jego słów do swej księgi? A jednakże był to najstraszniejszy wilk, jaki kiedykolwiek urodził się w kniei politycznej. Odmawiając ciągle z Voltairem i innymi obrońcami „praw człowieka" pacierz swobody, tolerancyi, czystych zamiarów, znał tylko pobudki samolubstwa, męcząc się panowaniem nad niewolnikami, mnożył ich, wzdrygając się przed widmami wojny, ciągle ją prowadził, pragnąc dobra dla wszystkich, wszystkich z niego odzierał, zalecając monarchom postępowanie rzetelne, wprowadził do Polski za 15 milionów fałszywej monety — przeniewierzył się wszystkiemu, co publicznie zaprzysiągł. „Jeżeli raz oświadczyłeś swoją wolę — uczył on— za nic w świecie od niej nie odstępuj. Gdy monarchowie chcą wojny, rozpoczynają ją a potem przywołują pracowitego prawnika, który dowiedzie, że wszystko jest słusznem. Finanse są nerwami kraju. Jeżeli to należycie pojmujecie, reszta będzie w waszej mocy." Na losach Rzeczypospolitej polskiej zrozumiano praktyczność tych reguł, które stanowiły dla „filozofa" furtkę do wymknięcia się, gdyby go za wiarołomstwo etyce przyłapać chciano. My wiemy lepiej od innych narodów, których kosztem Prusy wzrosły, jak ich twórca umiał wytrwać przy swej „woli" i jak zaopatrywał swój kraj w „nerwy." Dzieląc i zaokrąglając — według współczesnego świadectwa — nie dbał on nigdy o opinię ogółu co do czynu już dokonanego. Praktycznie przeprowadzał, rozumie się w zakresie własnych widoków, maksymę, teoretycznie później uzasadnianą przez jego ziomka i filozofa: wszystko, co jest, jest rozumnem — już przez to samo, że jest. Dla ofiar swej drapieżnej polityki był on upiorem. Wr. 1787 pokazywano w Warszawie woskową figurę Fryderyka, której wystraszona ludność ciekawie się przypatrywała.

Dla niemca, dla niemca z epoki Bismarkowskiej naturalnie taki człowiek posiada duch „napełniony najwyższemi ideami." Wiemy, co to znaczy w ustach nowożytnego teutona. „Będzie to zawsze w historyi pamiętnem i godnem pilniejszej uwagi — powiada Kalinka — że było w XVIII w. państewko, które przy wstąpieniu na tron Fryderyka II liczyło *półtrzecia* miliona ludności, tę liczbę przy zgonie jego podniosło do sześciu; że w sąsiedztwie jego znajdowały się wielkie państwa, z których najmniejsze, jak Anglia, liczyło 14 milionów, inne zaś, jak Rosya, Francya i Austrya, 20 do 26 milionów mieszkańców; a pomimo tak znacznej różnicy w obszarze i zaludnieniu, państwo to stało na równi z innemi i wszystkie inne oglądały się na przyjaźń lub nieprzyjaźń dworu pruskiego i każde jego dążenie miały na pilnem baczeniu." Dziwo to w znacznej części przypisują „administracyi," ale chyba w większej mierze przypisać je należy temu człowiekowi, który, oślepiając wzrok swego wieku idealną etyką, najprzebieglejszych okpić potrafił. Istotnie Prusy zawdzięczają mu podstawę swej wielkości, w chwili przytępienia uczuć moralnych mogą sławić jego mądrości „zabiegliwość," ale wiecznie sromotną pozostanie ta droga, na której on dorabiał się politycznego majątku. Już nie sami pokrzywdzeni, ale współuczestnicy jego planów miarkowali

nienasyconą chciwość i łupiestwo. Nikt mu w tych niecnotach dorównać nie mógł i nie chciał.

Gdy różne bezkrytyczne legendy pod światłem nowszych badań rozwiały się, z po za mgieł i osłon Fryderyk W. wychylił się, jako właściwy grabarz Polski. Bez jego machiawelskiej ręki dzieje ostatniego stulecia usnułyby się całkiem inaczej. Co więc przez ten wiek wycierpieliśmy, wypłakali, wszystkie łzy i boleści na jego grób odnieść należy.

Obecny rząd pruski nie mógł lepiej uczcić pamięci swego wielkiego poprzednika, jak ogłaszając dekret wygnańczy i uchwalając szereg praw, mających wytępić ludność polską. Duch Fryderyka „rozradował się w wieczności,“ pobłogosławił te święte akty „tolerancyi,“ „swobody“ i „ludzkości,“ które na ziemi tak zachwalał innym i — spełniał. „W mojem państwie — powtarzał on z dumą — każdy może być na swój sposób świętym.“ Ks. Bismark podjął tę ideę, wygiął ją odpowiednio i wypędzając dzieci ziemi z prawowitych siedzib, pozwala im uświęcania się — „na swój sposób.“ Po każdej zaś wojnie — według recepty — przywołuje sobie „pracowitego prawnika, który mu dowodzi, że słusznie zrobił.“

Zamknijmy wreszcie historyę, a nawet księgę męczeństw współczesnych, zastanówmy się tylko nad pierwiastkami, z jakich składa się atmosfera moralna obecnej doby, którą oddychamy. Co to za okropny, zabójczy czad! Jak ludzkość w nim wytrwa, co się z nią zrobi! „Wypadki dziejowe i odmiany polityczne — mówi wzmiankowany pisarz — niczem innem nie są, jak tylko wyrazem tego, co się dzieje i co się odmienia w duszy narodu i indywiduów, które go składają; bo — jak trafnie powiedziano — wielcy ludzie i wielkie chwile — to tylko kwiat i owoc na koronie tego drzewa, co bierze soki z ziemi, w której rośnie.“ Okropnem jest to drzewo pruskie, które przed stu laty zakwitło Fryderykiem, a teraz Bismarkiem.

PRZEWRÓT W BUŁGARYI.

Bułgarya znowu dostarczyła dyplomatom zajęcia, gazeciarzom — ciekawego materyału, a czytelnikom — łatwo strawnego pokarmu. Dowiodła ona przytem dwu rzeczy: że jest mistrzynią w urządzaniu spisków i że pragnie rosnąć na drożdżach, jak wielkanocna baba, która ma dużą objętość zewnętrzną i wiele dziur wewnątrz. Zarówno poprzednia rewolucya, która postawiła ks. Aleksandra na czele zjednoczonej Bułgaryi, jak i obecna, która go pozbawiła tronu i wygnała z kraju, dokonała się tak szybko i nagle, że omyliła najczujniejsze oczy. Pomimo wszakże tego talentu do urządzania podkopów, trudno przypuścić, ażeby w nich nie pracowała pomoc zewnętrzna. Książe Aleksander nosił na swych skroniach jeszcze niezwiędłe liście zasług wojennych, zdobyte w obronie kraju przeciwko serbom, ażeby już dojrzała samoistnie chęć wypędzenia go. Nawet sami spiskowcy, wymuszając na nim zrzeczenie się tronu, nie zaparli wdzięczności, jaką mu są winni. Więc czemuż go tak prędko wykurzyli?

Niedawno bułgarski organ panslawistyczny *Swietlina*, pisał: „Książe dąży do zrobienia z Bułgaryi twierdzy przeciwko Rosyi, dla podobania się anglikom i niemcom, a naszym obrońcom, nawet Monarsze rosyjskiemu i świętym ideom wszystkich prawowiernych słowian wschodu wypowiedział otwartą wojnę. Cały świat wie, że gdyby nie ta bezrozumna i dla kraju fatalna nieprzyjaźń księcia, Bułgarya, jak dawniej, używałaby dobrodziejstw trwałego pokoju, mogłaby rozwijać się i wzmacniać, a pewnego dnia, w chwili pomyślnego dla Rosyi i wszystkich słowian układu stosunków, który już wielokrotnie się powtarzał, jednem pociągnięciem pióra nietylko Wschodnia Rumelia, ale także Macedonia byłaby przyłączoną do księstwa bułgarskiego.“

Jeżeli telegraf prawdę mówi, spiskowi oznajmili bez ogródek księciu, że nie prowadził polityki słowiańskiej, odsunął się od Rosyi — i za to go usuwają. Jeżeli — powtarzamy — jest to prawdą. — Rosya odegrała się ze straty, jaką poniosła na półwyspie Bałkańskim i odzyskała na nim swój wpływ. Kto będzie siedział na tronie bułgarskim, jest to mniej niż obojętne, ale pod czyjem skrzydłem — jest to bardzo ważne, bo od tego zależą dalsze losy zgorzeliska potęgi tureckiej na południowschodzie. Dotąd widzimy tylko stronę zwycięską — Rosyę, kto znajdzie się na zwyciężonej — usłyszymy po wyjaśnieniu zagadek, które ten przewrót zaplątał. Czy w pole wyprowadzona została Austrya, czy Anglia, czy obie razem? Czy wybuchowi dano upoważnienie z Gasteinu i Kissingen? Czy nie zawiódł on nadziei nawet swych protektorów? Na wszystkich tych pytaniach spoczywa gęsta tajemnica.

W każdym razie jest to objaw znamienny, że przewrót w Bułgaryi spotkał się z wyraźnem oświadczeniem gabinetu petersburskiego, iż on pozostaje w najlepszych stosunkach z mocarstwami ościennemi i że wszelkie przeciwne wywody gazet rosyjskich były gorączkowymi snami. Czytelnicy *Prawdy* pamiętają, że jeszcze niedawno potrójne przymierze uważano za rozbite częściowo i że dzienniki z urąganiem rozdeptywały skorupy tego naczynia. Nas ani pozory, ani piania czujnych kogutów nie zbałamuciły. Przed kilku tygodniami pisaliśmy: „Oddawna żywimy przekonanie, potwierdzone wielokrotnemi próbami, że nie ma dziś w Europie mocniejszego powinowactwa nad sojusz, zwany potrójnem przymierzem. Dopóki główna jego podstawa trzyma się — nie zniknie ono, chociażby go chwilowo bieg wypadków rozluźnił. Jest on bowiem nietylko węzłem sympatyj osobistych, ale splotem jednorodnych interesów.“ Po zjazdach w Kissingenie i Gasteinie mogło zdawać się, że stuletni ślub zakończył się rozwodem lub przynajmniej seperacyą, ale stosunki wydawały z siebie tylko taki pozór. Jakoż pierwszy ważniejszy wypadek odsłania nam troiste przymierze w całej mocy, zewsząd sypią się zapewnienia o jego

---

2)

POWIEŚĆ.

STARA MIŁOŚĆ

przez

C. del Negro.

Osądźcie więc Ornatelli, czy ja mogę nie unikać spotkania się z Klarą?

Beni pytająco patrzył na sędziwego towarzysza młodości; ten jednak milczał. Może nie dosłyszał pytania? Znowu zapanowała długa przerwa. Nakoniec odjął Ornatelli rękę od oczu i powstał, mówiąc:

— Ja pójdę do niej, jeżeli jego świątobliwość pozwoli.

— Dzięki wam, najlepszy przyjacielu! Z serca mego zdejmujesz wielki ciężar.

Tu chciał on uścisnąć rękę gościa, ale ten, udając, iż tego nie dostrzega, wziął tylko szerokoskrzydły swój kapelusz kardynalski z krzesła, na którym go był położył przy wejściu i zaczął ręką gładzić miękki włos filcu. Potem rzekł:

Pozostawiam was teraz, aby natychmiast się wziąć do przyjętych obowiązków. Bądźcie zdrowi!

Z temi słowy uścisnął pośpiesznie rękę gospodarza i zwrócił się do wyjścia. Beni szedł za gościem. U samych drzwi wrócił się tenże i, jak gdyby od niechcenia, zapytał:

— Czy prawdą jest, Beni, iż macie zamiar sprzedać waszą willę nadmorską w Remi?

— Tak, gdy tylko nadarzy mi się dobra sposobność.

— Chętnie bym ją nabył. Odstąpicie mi ją?

— Wam z większą ochotą, niż komukolwiekbądź — odparł Beni.

— To dobrze, przeprowadzeniem sprawy zajmą się nasi pełnomocnicy. Bądźcie zdrowi, Beni!

W przedpokoju wobec służby pożegnanie było tak sztywne i urzędowe, jak i powitanie. Powolnym krokiem i w zamyśleniu schodził jego eminencya kardynał Ornatelli ze schodów ku swojej karecie. Dzisiaj muszą się ważyć jakieś zagadnienia wielkiej doniosłości politycznej, myślał sobie caudator, gdy siadłszy w karecie obok zwierzchnika, usiłował, podług zwyczaju, wyczytać coś z jego twarzy.

Udano się do Watykanu. Opuściwszy karetę, książę kościoła ze spuszczonym wzrokiem i myślą błąkającą się gdzieindziej, wszedł na marmurowe schody, wiodące z podsienia na Piazzo San Pietro do dworca San Damaso. Widziałeś tu różne deputacye, większe i mniejsze grupy duchownych, zakonników, laików, turystów — kobiet i mężczyzn.

Na widok sędziwego księcia kościoła wszyscy obnażyli głowy usuwając się z drogi. Szybkiem pozdrowieniem witając się na obie strony, szedł kardynał Ornatelli na prawo, przez podwórze, ku szklannym drzwiom schodów, za któremi odbywały się przyjęcia u papieża i kardynała Antonelli.

Wzdychając, przebył Ornatelli schody z żółtego marmuru i wszedł do sali poczekalnej papieża, gdzie dwaj szajcarowie-halabardziści straż trzymali.

Kiedy caudator, przytrzymawszy połowę otworzonych przez siebie drzwi, zamknął je później za jego eminencyą bez łoskotu — znalazł się tenże wśród uroczystej powodzi barwnego światła. Pochodziło ono

trwałości. Wprawdzie jeden z głosów wspomniał tylko o „podwójnem“ (austro-niemieckiem), ale był to głos najmniej wiarogodny.

Dopiero kurtyna podniosła się, akt dopiero rozpoczęty—oceniać więc jego treści, przebiegu i zakończenia nie możemy. Z pierwszych wszakże monologów i dyalogów widzimy, że Rosya, którą uważano za usidloną a nawet przypuszczano, że ona porażkę wynagrodziła sobie Batumem, zajęła znowu plan pierwszy na półwyspie Bałkańskim.

Telegraf rozniósł wieść, że ks. Aleksander odebrał sobie życie. Komedya więc zamieniłaby się na dramat. Zanim nastroimy się odpowiednio, czekajmy wiadomości pewniejszych.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wypadki w Bułgaryi odciągają uwagę powszechną od wszelkich innych spraw politycznych, rozwijają się zaś tak szybko, że każdy dzień przynosi nowe zmiany. Przewrót ten, który krwawo skończyć się może, robi niekiedy wrażenie farsy z operetki. Dotychczas nadchodziły wiadomości bardzo niepewne, ponieważ komunikacya telegraficzna w ciągu dni kilku była przerwaną, dziś jednak przebieg wypadków wyjaśnił się nieco. Okazuje się, że złożenie z tronu księcia Aleksandra było dziełem nielicznej grupy spiskowców, którzy przeciągnęli na swą stronę 2 bataliony wojska. Spiskowcy w nocy otoczyli konak książęcy i wymusili podpisanie aktu zrzeczenia się tronu, poczem książę wywieziony został z miasta i ukryty tak starannie, że przez trzy dni niewiedziano, co się z nim dzieje. Metropolita Klement i Cankow kierowali całą sprawą, oni też utworzyli rząd tymczasowy i rozesłali telegramy do władz prowincyonalnych, donoszące, że przewrot dokonany został przez przedstawicieli wszystkich stronnictw. W rzeczywistości zaś Karawełow był uwięziony, inni zaś mniemani członkowie rządu tymczasowego jak Radosławow, Nikiforow, minister wojny i Stambułow, prezydent zgromadzenia, zaprotestowali później przeciw nadużyciu ich nazwisk. Kiedy lud ochłonął ze zdziwienia i dowiedział się o istotnym stanie rzeczy, odezwało się w nim przywiązanie do młodego księcia. Wojsko nie chciało uznać rządu tymczasowego, załogi Plewny, Widynia, Szumli i Tyrnowa zamknęły bramy i oświadczyły, że słuchać będą tylko rozkazów księcia. Stambułow tymczasem podburza ludność Tyrnowa; w Filipopolu milicya rumelijska ogłasza swoim wodzem pułkownika Mutkarowa, który oświadcza, że idzie z wojskiem do Sofii, aby przywrócić rząd prawowity, ale i w Sofii część wojska i ludności występuje przeciw spiskowcom.

W jaki sposób odbył się drugi przewrot, dokładnie nie wiadomo, faktem jest jednak, że rząd tymczasowy został zwalony, wybitniejsi jego członkowie: metropolita Klement, Cankow i Grujew— uwięzieni, Karawełow zaś objął władzę i rozesłał gońców na poszukiwania księcia, którego wojsko i lud proszą, aby powrócił do stolicy.

Tymczasem książe Aleksander wpadł, jak kamień w wodę. Dotychczas niewiadomo dokładnie, co się z nim stało. Kiedy jedne wiadomości głoszą, że odebrał sobie życie, inne twierdzą, że jest uwięziony, inne znowu, że znajduje się wśród wiernego wojska i zbliża się do Sofii. Najprawdopodobniejszem jest wszakże, iż książe pod strażą odstawiony został do granicy rumuńskiej, skąd wyjechał podobno do Austryi. Inna depesza głosi znowu, że otrzymał on wiadomość o zwaleniu rządu tymczasowego i wrócił się z drogi.

Bądź, co bądź obecnie nie może ulegać już wątpliwości, że przewrót bułgarski nietylko nie ułatwił, jak spodziewano się, pomyślnego rozwiązania spraw bałkańskich, ale owszem daje powód do nowych zawikłań. Uczciwy mekler, który publicznie umył ręce, nie spodziewał się zapewne takiej nagłej kontr-rewolucyi. Rząd rosyjski dotychczas nie wypowiedział swego zdania o wypadkach w Bułgaryi i pomimo, że stronnictwo Cankowa prosiło o opiekę, nie dał na prośbę tę odpowiedzi. I Turcya i Anglia w pierwszej chwili wyparły się swego protegowanego, teraz zmuszone będą zmienić ton, jeżeli bowiem książe Aleksander zgodzi się objąć napowrót rządy Bułgaryi, stanowisko jego będzie wzmocnionem, okazało się bowiem, że posiada on popularność w wojsku i wśród ludu. W sąsiedniej Serbii kilkakrotnie usuwano w ten sposób władzców, ale żaden z nich w kilka dni po zrzeczeniu się nie wracał na tron. Ponieważ jednak powrót księcia nie jest rzeczą pewną, wstrzymać się należy do czasu od wszelkich przypuszczeń, dzisiaj tyle tylko powiedzieć można, że sprawa bułgarska zbliża się do stanowczego rozwiązania, i że widnokrąg polityczny zaciemniają znowu chmurki, chociaż po zjeździe w Gasteinie spodziewano się zapewnić na czas pewien pogodę.

Nowy przewrot w Bułgaryi przykrym będzie i dla króla Milana. Wojowniczy ten kogut, na wiadomość o wypadkach w Sofii nastroszył się groźnie i nakazał uruchomienie armii, pragnąc zapewne tanim kosztem powetować zeszłoroczną porażkę. Teraz musi schować miecz do pochwy, przynajmniej do czasu jakiej ogólnej zawieruchy.

SPRAWY EKONOMICZNE.

NOWE PRAWA.

III.

Już przed dwoma laty mniej więcej, mówiąc o ustanowieniu inspektorów fabrycznych i ograniczeniu pracy kobiet i dzieci, wyraziliśmy przekonanie, że reformy te nie mogą pozostać odosobnionemi, że wywołają one szereg dalszych uzupełnień, słowem, że staną się zawiązkiem prawodawstwa fabrycznego. Przewidywania nasze spełniły się, inaczej zresztą być nie mogło; działalność bowiem inspektorów, jakkolwiek dotyczyła tylko kobiet i małoletnich, już w tym ograniczonym zakresie zahaczać musiała o sprawy całej klasy robotniczej, np. warunki sanitarne, zachowywanie ostrożności, sposoby wypłaty itp. Władza państwowa w ciągu lat ostatnich zwróciła uwagę na położenie robotników i zamierzyła wydać szereg ustaw, regulujących stosunki, które dotychczas układały się zupełnie dowolnie i niekorzystnie dla warstw pracujących. Oprócz wielu projektów, które oczekują ostatecznej sankcyi, jak np. o odpowiedzialności przedsiębiorców za nieszczęśliwe wypadki, wyszły obecnie ustawy o wzajemnym stosunku pracodawców i robotników i o dozorze fabrycznym. Nie wdając się w szczegółowe streszczenie nowych przepisów, wykażemy tutaj tylko ważniejsze, zasadnicze ich punkty.

Regulamin wewnętrzny fabryk nie może być zależnym od samowoli przedsiębior-

---

z szyb kolorowych, które niegdyś jakiś książę bawarski podarował papieskiemu tronowi.

Tu, na oświetlonej kunsztownie przestrzeni, zgromadził się tłum wspaniale barwny. Już widziałeś grupę fioletowych monsignorów, już kupkę zebranych braciszków, owdzie znów stał samotny jakiś ksiądz kościoła, tam w szkarłat przybrany sediaryusz (nosiciel papieskiego krzesła), liliowej barwy scopator (mistrz ceremonij) i papiezcy lokaje w szatach malowniczych karmazynowych. Zdawało się, iż przeszłość powstała z martwych, że sludzy papieskiej potęgi z dawno zamierzchłych czasów naznaczyli tu sobie spotkanie.

Mistrz ceremonij z usłużnością pośpieszył na spotkanie wpływowego kardynała Ornatelli. Ten zażądał, aby go oznajmiono jego świątobliwości. Dopuszczono go po chwili. Posłuchanie u papieża trwało niedługo. Wyszedłszy stamtąd, opuścił książę kościoła Watykan i udał się do klasztoru św. Katarzyny.

Stare jego kolana drżały, gdy otworzono przed nim bramę i kiedy wstąpił na podwórzec klasztorny.

Zrozumiałem było, dlaczego matka Klara niechętnie mogła opuszczać siedzibę. Była to stara, romantyczna budowa, otoczona w części podwórzem, mającem postać ogrodu. Dokoła tegoż biegły małe kolumny o kamiennych festonach. Pośrodku mieściła się starożytna cysterna, a przy niej rosło parę drzew prastarych, dających latem błogi cień.

Z wyrazem głębokiego uszanowania jedna z sióstr poprowadziła dostojnego gościa do parlatorium ksieni. Powiedziawszy, że matka Klara zaraz nadejdzie, sama wycofała się cichutko z pokoju.

Ornatelli pozostał sam. Znajdował się on teraz w obszernej sali, której widok, jakkolwiek imponujący, nie był przyjemnym. Wszystko wyglądało tam tak sztywnie i było wyblakłe, bez wdzięku.

Kardynał usiadł na jednem z krzeseł, stojących przy oknie i spoglądał na rozległy ogród klasztoru. W tem wzrok jego padł na wielkie, błyszczące liście drzewa magnoliowego. Westchnął. Niebawem otwarły się drzwi i weszła przeorysza. Miała ona pozór jeszcze okazały. Nawet ze zwarzonych starością rysów jej twarzy wnosić było można, że kiedyś musiała być bardzo piękną.

Na zwiędłej twarzy świeciła się para dziwnych, dużych, szarych oczu, które zdawały się być teraz piękniejszemi i większemi, niż za dni jej młodości. Teraz przemawiała z nich rozrzewniająca tkliwość i łagodność. Ten, ktoby na nie patrzył, nie domyśliłby się, iż musiały one kiedyś spoglądać z dumą i chłodem. Można byłoby wyczytać z tych oczu, że matka Klara w ciągu swojego, pełnego poświęceń życia zdobyła spokój i zadowolenie, że żadnej urazy nie żywi ona do świata, ani do ludzi, ale boleśnie zaciśnięte jej usta świadczyły wyraźnie, iż przebytych cierpień ani pokonać ani zapomnieć nie mogła.

— Eminencyo — zaczęła ona — wyciągając rękę...

— Tak urzędowe przywitanie!? — odpowiedział kardynał z tłumioną żywością w głosie.

Powstał był na jej przyjęcie. Gdy stanęli naprzeciwko siebie, starzec wziął jej rękę i, składając na niej pełny uszanowania pocałunek, dodał:

— Innego czekałem od pani przemówienia; nazywałaś mię przecież zawsze Ornatelli.

— Zapewne, ale przed „piędziesięciu“ laty — odparła z lekkiem westchnieniem. Wówczas byłeś pan tak młodym i...

Ponieważ zatrzymała się, dopowiedział więc z uśmiechem:

cy, lecz musi uzyskać zatwierdzenie inspektora i powinien zawierać: 1) rozkład godzin pracy, z dokładnem wymienieniem czasu jej trwania oraz ilości przerw dla odpoczynku, śniadania i objadu; 2) wykaz świąt, 3) określenie porządku robót, 4) warunki korzystania z istniejących przy fabryce mieszkań, łaźni itp. 5) oznaczenie czasu dla czyszczenia machin; 6) przepisy dla robotników co do zachowywania porządku i spokoju, 7) wymagania ostrożności.

W celu utrzymania należytego porządku przedsiębiorca lub wogóle zarządzający fabryką może wymierzać kary, ale w ograniczonym rozmiarze i za pewne tylko wykroczenia, mianowicie: za niedbałą robotę, opuszczanie zajęć i zakłócanie spokoju (to ostatnie określonem jest szczegółowo). Rozmiar pojedynczy kary nie przechodzi 3 rubli i nie może przewyższać $^1/_4$ zarobku za czas umówiony. Kary zapisują się do książeczki obrachunkowej robotnika i do osobnej księgi sznurowej, znajdującej się w fabryce, a jakkolwiek rozporządzenia tego rodzaju nie podlegają zaskarżeniu, inspektor może pociągnąć przedsiębiorcę do odpowiedzialności, jeżeli przy rewizyi przekona się, że stosowanie kar nie zgadza się z prawem. Zresztą najlepszym hamulcem przeciw zbytniemu szafowaniu karami pieniężnemi jest przepis, że sumy, pochodzące z tego źródła, stanowią oddzielny fundusz, który może być przeznaczony tylko na zaspokojenie potrzeb robotników. Dotychczas dochód z kar szedł zwykle na rzecz przedsiębiorcy i w wielu fabrykach stanowił wcale pokaźną rubrykę zysku.

Każdy robotnik otrzymać winien oddzielną książeczkę obrachunkową, w której oznacza się: jego imię i nazwisko; czas trwania umowy i jej warunki, jako to: wysokość zarobku, opłaty za mieszkanie i inne szczegóły; odnotowanie wypłaconej zależności i strąconych kar, wreszcie wyciąg z przepisów regulaminu wewnętrznego, dotyczący praw i obowiązków robotników.

Opłata za mieszkanie, żywność, łaźnię itd. pobieraną być może tylko według taksy, zatwierdzonej przez inspektora, ściąganie opłat nadzwyczajnych karanem jest dosyć surowo, jak również zatrzymywanie należności oraz wypłacanie zarobku w towarach lub przedmiotach spożywczych. Wprawdzie w fabryce może istnieć sklep spożywczy, ale powinien być on urządzony na zasadach stowarzyszenia i według dokładnych przepisów. Kary, jakim podlegają przedsiębiorcy, wynoszą od 50 do 300 rubli, w ważniejszych zaś wypadkach winnym grozi areszt lub więzienie, ale tylko z wyroku sądowego. Działalność inspektorów obejmować będzie obecnie wszystkie strony życia fabrycznego. Jeżeli sądzić mamy z dotychczasowych rezultatów, spodziewać się należy, że instytucya ta odpowie swemu zadaniu. Inspektor fabryczny ma obowiązek doglądać zachowywania przez pracodawców i robotników przepisów, określających wzajemne ich stosunki, rozpoznawać i zatwierdzać taksy, tabele itp. przedsiębrać środki dla zapobiegania sporom i nieporozumieniom, prowadzić śledztwo w odpowiednich wypadkach i oskarżać przed sądem winnych. Dane, dotyczące wykroczeń, winny być przesyłane niezwłocznie właściwym sądom. Policya miejska i powiatowa zawiadamia inspektora o wszelkich wypadkach zakłócenia porządku i spokoju w fabrykach, i w razie potrzeby udziela mu pomocy czynnej. Skargi na rozporządzenia inspektorów i ich pomocników podają się w terminie miesięcznym do t. z. gubernialnych urzędów fabrycznych.

Nowo ustanowione urzędy te składają się pod przewodnictwem gubernatora z wice gubernatora, prokuratora sądu okręgowego lub jego towarzysza, naczelnika żandarmeryi gubernialnej, inspektora okręgowego fabrycznego lub jego pomocnika, wreszcie prezesa lub członka ziemstwa gubernialnego i prezydenta (głowy) miasta. Na posiedzenia urzędu do spraw fabrycznych zapraszane być mogą i osoby postronne dla udzielania objaśnień specyalnych.

Urzędy gubernialne mają prawo wydawać przepisy uzupełniające o zachowywaniu środków ochronnych dla życia, zdrowia i moralności robotników i wogóle wszelkie rozporządzenia, dotyczące wykonywania postanowień rządowych co do fabryk i stosunku pracodawców do robotników. Sądzą one również sprawy o nadużyciach fabrykantów i przyjmują skargi na inspektorów, których działalność mogą kontrolować i ograniczać. Jeżeli kara wynosi mniej niż 100 rubli, od wyroku nie ma apelacyi, w innych wypadkach należy podawać skargi w terminie miesięcznym do ministra skarbu.

Jak już nadmienilismy, prawodawca w wielu wypadkach okazał się względniejszym dla robotników fabrycznych, aniżeli dla wiejskich. Pogląd taki posiada pewne podstawy, które wszakże wobec zmieniających się warunków ekonomicznych tracą znaczenie. Robotnik wiejski, zwłaszcza zaś najemnik czasowy, jest samodzielniejszym, często nawet nie żyje wyłącznie z pracy zarobkowej. Powtóre, w rolnictwie między popytem i podażą pracy istnieje stosunek dosyć stały, podlegający nieznacznym bardzo wahaniom. Obie te okoliczności sprawiają, że robotnik wiejski nie może być w tym stopniu wyzyskiwany, co fabryczny, więc też i opieka nad nim nie potrzebuje być tak ścisłą. Ale zarazem przyjąć trzeba na uwagę, że wytworzyła się już liczna klasa proletaryatu bezrolnego i że wskutek tego osłabienia działalności wytwórczej zaofiarowanie pracy wzrasta w daleko większym stosunku, aniżeli jej żądanie, więc też i położenie robotników wiejskich zmienia się na gorsze.

Nowe ustawy fabryczne posiadają ten sam brak, który zaznaczyliśmy mówiąc o przepisach ograniczających pracę dzieci i kobiet — nie stosują się one wcale do rzemiosł, chociaż tutaj stosunki między pracodawcą i robotnikiem nie są bynajmniej lepsze. Urzędy gubernialne mogą nawet przedstawiać ministrowi wnioski o wyłączenie z pod ustawy pomniejszych fabryk i zakładów przemysłowych. Ponieważ ustawa rzemieślnicza jest już zaprojektowaną, można spodziewać się, że brak, o którym wspomnieliśmy będzie wkrótce usunięty, ale czy ona obejmie również małe fabryki? Bo jeżeli nie, to pozostaną one bez żadnej kontroli, a kto wie, czy właśnie wyzyskiwanie robotnika nie jest tam najdotkliwszem.

Rozumie się, że inspekcya fabryczna będzie zreorganizowaną i powiększoną. Obecnie np. w Królestwie jest jeden tylko inspektor i pomocnik jego, czemu zapewne przypisać należy, że o działalności tej instytucyi nie słychać prawie wcale. Tymczasem badania komisyi specyalnej wykryły w Łodzi i sąsiednich miastach fabrycznych mnostwo nadużyć.

Okazało się np.. że warunki hygieniczne nie są wcale zachowywane, że pomoc lekarska nigdzie prawie nie istnieje. Kary w niektórych fabrykach stanowią znaczny procent dochodu przedsiębiorcy, wypłata zaś zarobku w produktach spożywczych lub towarach, do tego lichej wartości — jest objawem często spotykanym. Wykryto nawet, że niekiedy wypłata odbywa się w szynku i robotnicy część należności otrzymują wódką. Wogóle zaś, jak zauważył człowiek kompetentny, b. p. Janżul, inspektor fabryczny moskiewski, położenie robotników w Królestwie jest gorszem, aniżeli np. w okręgu moskiewskim, chociaż pp. fabrykanci łódzcy objaśniali kiedyś powodzenie swoje w współzawodnictwie — większą dbałością o byt praco-

---

— Tak młody i tak niemądry — chcesz pani powiedzieć. Otóż możesz pani przemawiać do mnie tak, jak dawniej: jam się jeszcze nie wyleczył, jeszcze jestem tym samym.

Mówił to wzruszonym głosem. Przelotnie spojrzeli sobie w oczy. W spojrzeniu tem był jakby odblysk ich dawno, dawno ubiegłej młodości.

— Siadajcie, Ornatelli — rzekła przełożona po krótkiem milczeniu. Usiadła sama na jednem z krzeseł przy oknie, wskazując mu inne miejsce. Tak dawno to już, bardzo dawno jakeśmy się ostatni raz widzieli — zaczęła staruszka. To też dziwnemby mi było, gdybyście wy, wasza eminencyo, pozostali tym samym: wszak wszystko się zmienia na świecie!

— I pani również, czcigodna przyjaciółko? — zapytał kardynał z przenikliwem spojrzeniem.

— I ja też. Mogę dziś z zupełnym spokojem myśleć o tem, co mię niegdyś napełniało cierpieniem, panuję dziś nad tem, czemu niegdyś ulegałam bez oporu.

— Bądźże dziś jeszcze tyle rozsądną, zacna przyjaciółko i poddaj się bez szemrania losowi — odpowiedział z goryczą — przestań myśleć o oporze i opuść dobrowolnie twój klasztor.

— Nigdy, przenigdy! — zawołała. Nie oddam tego przybytku, gdzie tyle nieszczęśliwych, prześladowanych schronienia szukało i znalazło — nigdy bez walki!

— Będziesz pani musiała to uczynić — odparł on spokojnie, ale stanowczo — gdyż jego świętobliwość życzy sobie tego, rozkazuje. Nie oskarżaj więc pani losu...

— O nie! — przerwała z goryczą. Życie dość wcześnie zaczyna uczyć ludzi, że się najukochańszych swych pragnień wyrzec muszą. To też przez lat siedemdziesiąt miało się dość sposobności nauczyć sztuki ustępowania i ulegania bez wyrzutów. O mnie tu nie idzie. Niewiele życia mam przed sobą, ale o moje młodsze siostrzyczki, pomiędzy któremi tak wiele jeszcze jest pięknych; że tamte ukochane moje muszę w świat ten niedobry wypędzić — to, widzicie Ornatelli, zatrważa mię i boli.

Podniosła się była i przechadzała się wzruszona po pokoju.

— Uspokój się pani — zaczął znów kardynał. Przygotowuje się dla niej nowy przytułek, piękna willa nadmorska w Remi, gdzie dla pani i dla wszystkich twych ukochanych dość jest przestrzeni. Mirolago czeka na twe rozkazy i będzie ci oddanem na własność.

— Kto mi to zrobił?— zapytała z żywością. Zatrzymała się przed nim, patrząc pytająco rozjaśnionemi oczami.

— Właściciel — odparł powoli książę kościoła.

— On!? — krzyknęła pełna radości.

Ornatelli pochylił głowę.

— On!

Klara nie zapomniała więc swego snu młodości. Radosny odcień jej głosu wykazywał aż nadto widocznie, jak szczęśliwą czyniła ją ta myśl, iż on dawał jej dowód swej miłości. Ornatelli nie miał serca pozbawiać jej tej wiary. Więc dar był dla niej tysiąckroć droższym, gdy otrzymywała go od ukochanego niegdyś człowieka!...

— Tak, kardynał Beni jest ofiarodawcą.

W kilka chwil później kardynał Ornatelli opuścił klasztor.

Przełożona musiała przecież dowiedzieć się, że willę nabył dla niej Ornatelli. Nazajutrz bowiem przesłała mu pismo dziękczynne, które kończyła słowami:

„Dzięki, mój najlepszy, mój jedyny przyjacielu. W późnej dobie zimowej mego życia zdobyłam doświadczenie, iż my kobiety kochamy często niezasłużonych.“

wników. Tym i innym licznym nadużyciom inspekcya fabryczna zapobiedz może i powinna. Jakkolwiek nowa ustawa ogranicza zakres jej działania, wymagania życia rozszerzą te ramy. Wszystko, co dotychczas uczyniono, jest tylko podstawą dla właściwego prawodawstwa fabrycznego. Praktyka wykaże cały szereg koniecznych zmian i uzupełnień, z których jedne są już w projekcie, inne zaś wkrótce muszą być podniesione. Sądząc z dotychczasowego przebiegu sprawy, wnosić można, że na nowe ustawy czekać długo nie będziemy.

Prawodawstwo fabryczne w Rosyi idzie tą samą drogą, co w Anglii, rozszerza się i uzupełnia stosownie do wymagań praktyki, życzyć więc trzeba tylko, żeby przyjęło dobre strony urządzeń angielskich, do których należą samodzielność inspekcyi i zwracanie uwagi na szczególne warunki każdej gałęzi przemysłu. Dotychczas ta okoliczność niezmiernie ważna, nie jest wcale uwzględnianą, prawo nie przewiduje nawet konieczności zmiany przepisów w tym kierunku.

J. P.

BADANIA NAUKOWE.

CUDOWNE UZDROWIENIA.

Pisma codzienne doniosły o „cudownem" uzdrowieniu w Częstochowie niejakiej panny K., dotkniętej od lat kilku paraliżem nóg. Wobec wydarzeń podobnych publiczność polska zachowuje się dwojako: jedni — i tych jest najwięcej — widzą tu zjawisko nadprzyrodzone, bezpośredni objaw oddziaływania opatrzności, umacniającej wiarę tłumów kosztem kilkoletnich cierpień jednostki; drudzy skłonni są upatrywać w takich wypadkach bądź jakiś dziwny zbieg okoliczności, bądź dowód religijnego zaślepienia obecnych „cudowi," bądź w końcu zręcznie ułożoną przez księdza zasadzkę na materyalne dowody żarliwości pobożnego tłumu. Obiedwie strony są w błędzie: uzdrowienia cudowne—w rodzaju tego, o którem doniosły dzienniki, są zjawiskiem jaknajzupełniej możliwem i przyrodzonem. W nauce europejskiej znalazły one oddawna właściwe sobie oświetlenie i stanowisko. W Paryżu np. gdzie uzdrowienia takie pod przewodnictwem Charcot'a dokonywane są w drodze doświadczalnej, nie budzą już one zajęcia tak żywego, jak w krajach i miastach, w których zadanie psychiatry podejmować muszą: już wytrawni w swojem rzemiośle owczarze, już trzymające z dyabłem znachorki, już wreszcie mniej lub więcej przygodni cudotwórcy, magnetyzerowie, hypnotyzerzy, brzuchomówcy itp.

Poznajmy istotę zagadnienia. W szeregu rozmaitych dolegliwości naszego ciała, zaburzenia w czynnościach układu nerwowego pierwszorzędne, dziś zwłaszcza, mają znaczenie; z olbrzymiej ich liczby nauka współczesna wyodrębnia pewną bardzo rozległą grupę zboczeń i powikłań, obejmowanych zwykle ogólnem mianem *histeryi*. Jest to wyraz, przy wymawianiu którego ludzie „dobrze powiadomieni" uśmiechają się dwuznacznie; uśmiech ten jednakże jedno istotne posiadać musi znaczenie: jest on dowodem ich nieświadomości. Histerya nie stoi bynajmniej w tak ścisłym związku ze sprawą popędów miłosnych, jak to niejednokrotnie dawali nam do zrozumienia uczeni powieściopisarze i powieściowi uczeni. Na takie samowolne ograniczenie zakresu tej choroby słusznie oburza się Karol Richet. Ten sam badacz daje też niezmiernie trafną charakterystykę ogólną zboczeń histerycznych: od innych chorób nerwowych różnią się one tem głównie, iż są raczej niemocą *charakteru*, nie zaś *umysłu*. Z pomiędzy trzech głównych dziedzin ludzkiego ducha: woli, uczucia i rozumu tylko pierwsza zdaje się być siedliskiem choroby; dwie drugie—uczucie i rozum, nietylko nietracą czasem nic ze swoich zasobów, lecz niekiedy zyskują: wrażliwość uczuć, a nawet ich drażliwość dosięga ostatecznych krańców; żywość wyobraźni, bystrość pojęć i skojarzeń umysłowych — niepospolicie się zwiększa. Wola tylko przestaje panować i otwiera szeroki przystęp najróżnorodniejszym zachciankom, nieuzasadnionej zmienności usposobień, wybuchom wesela, objawom rozpaczy, wylewom uczuć przyjaznych, zapędom gniewu, wybrykom nieposkromionej złości itp.

Wszystkie zboczenia powyższe cechują wszakże tylko *łagodniejszy* przebieg choroby; w dalszym jej rozwoju nauka odróżnia trzy główne okresy: anestetyczny (znieczulenia), konwulsyjny i okres histerycznego obłąkania. (K. Richet). Z tych wszystkich jedynie pierwszy zajmować nas tutaj będzie.

W okresie tym ukazują się naprzód objawy częściowego znieczulenia skóry: dotyczy ono bądź wrażeń dotyku, bądź nawet bólu. Niektóre miejsca na powierzchni ciała można przeszywać szpilką, parzyć rozpalonem do czerwoności żelazem — nie przyczyniając przez to żadnego cierpienia histeryczce. Wykrycie takich miejsc znieczulonych było dla dawnych inkwizytorów niezbitym dowodem tego, iż chora pozostaje w mocy dyabła. „Biada histeryczce, jeżeli za każdem dotknięciem żelaza nie wydawała bolesnych jęków" — mówi Karol Richet (*Revue des deux Mondes*, 15 stycznia 1880). Znieczulenie może dosięgać nadto i zmysłu mięśniowego: wówczas chora nie zdaje sobie sprawy z położenia chorego członka. Nakoniec — i to jest dla nas najważniejszem — w okresie tym histeryczki podlegają częściowemu lub ogólnemu bezwładowi czyli paraliżowi. Paraliż ten nazwano psychicznym, idealnym, albo jeszcze czynnościowym dla odróżnienia go od paraliżu organicznego. Pierwszy jest wynikiem jakichś powierzchownych zboczeń w samej czynności ruchu, przyczyna jego może być psychiczną; drugi bywa wynikiem głębszego uszkodzenia samej tkanki nerwowej, następstwem przyczyn cielesnych. Paraliż histeryczek jest raczej chorobą ducha nie zaś ciała, jest „chorobą woli..." Spotykamy tu ów rodzaj paraliżu, który nazwano psychicznym lub idealnym: histeryczka leży przez całe tygodnie, miesiące, a nawet lata, sądząc, iż niezdolną jest chodzić lub stać. Jakiś cios moralny lub po prostu wpływ jakiejś osoby, która zdobędzie jej zaufanie i posiądzie nad nią władzę — sprowadzają zwykle wyzdrowienie. Jedna zaczyna chodzić na wieść o pożarze, inna wstaje i idzie na spotkanie brata, powracającego po długiej nieobecności, jeszcze inna postanawia chodzić z obawy lekarza. Briquet w swoim *Traktacie o histeryi* przytacza przykłady wielu kobiet, które wyleczył, natchnąwszy je wiarą w ich uzdrowienie. Można byłoby wspomnieć jeszcze o wielkiej liczbie owych, za cudowne uznawanych wyzdrowień, które podsycały ciekawość powszechną od czasów dyakona Parisa (um. 1727) aż do dni naszych" (Ribot, *Choroby woli*). Przyczyna fizyologiczna takich bezwładów nie jest jeszcze dostatecznie zbadaną, w dziedzinie zaś psychicznej zaznacza się tu pospolicie jakieś *urojenie* (idée fixe), jakieś nie dające się usunąć z umysłu wyobrażenie. Ponieważ jednak wyobrażeniu odpowiadać musi pewne podścielisko anatomiczno-fizyologiczne, przeto uczeni przypuszczają, że urojeniu temu towarzyszy pewien niezwykły stan ustroju — np. ośrodków ruchu. Doświadczenia, o których powiemy za chwilę, każą wszakże przyczynę tę odnieść jeszcze dalej — do ośrodków działalności duchowej.

Od lat kilkunastu (1869) już nietylko leczenie paraliżu psychicznego, ale sama ta choroba wywoływaną być może w drodze doświadczalnej. Próby anglika Russel Reynolds'a, później Bernheima i Bottey'a, w końcu zaś doświadczenia w klinice Charcot'a i innych wykazały, że, poddając hysteryczce *myśl* o sparaliżowaniu któregokolwiek z jej członków, paraliż taki się otrzymuje w istocie. „Prawa ręka pani jest bezwładną," mówi się chorej — i ręka jej rzeczywiście staje się taką. W doświadczeniach tych dwa szczególniej uderzają zjawiska. Po pierwsze: jeżeli dany członek sparaliżowanym został po wprawieniu chorej w stan kataleptyczny, hipnotyczny albo lunatyczny, to tylko w takim a nie innym stanie paraliż jego da się usunąć. Po drugie: jeżeli przyczyna bezwładu była idealną, jeżeli było nią poddanie *wyobrażenia* bezwładności, to również tylko *idealna* przyczyna może skutecznie oddziałać na usunięcie choroby: ani metaloterapia, ani magnetyzm, ani elektryczność nie mają wówczas znaczenia; jeżeli zaś przyczyna była cielesną — np. pocieranie dwugłowego mięśnia ramienia, to czynniki fizyczne okazują się wtedy skutecznymi. (Paweł Richer *Etudes cliniques sur l'hystéro-epilepsie.* str. 741—752 i in.).

Wracając tedy do wspomnianego wyżej uzdrowienia w Częstochowie, musimy powiedzieć: ponieważ pannę K. lekarze tutejsi leczyli jedynie bądź wewnętrznymi, bądź zewnętrznymi środkami właściwej medycyny, ponieważ w najlepszym razie, oprócz magnetyzmu, metaloterapii, elektryczności i lekarstw wewnętrznych nie używano względem niej żadnych innych sposobów, ponieważ nie uciekano się w jej chorobie do środków *idealnych* (poddawanie wyobrażeń), jako nie dość jeszcze uprawnionych w naszej praktyce lekarskiej, przeto—cudem byłoby to tylko, gdyby ją wyleczyli nasi lekarze, jak również cudowności przypisaćby należało to, gdyby jej nie uzdrowił obraz częstochowski, pomimo jej silnej wiary. Wiara i tylko wiara w skuteczność danego środka zbawić tu może — bez względu na to czy przedmiotem jej będzie zdaleka sprowadzony znachor, czy gotowany w mleku nietoperz, czy cudowny obraz.

Brak miejsca i niezmiernie bogate piśmiennictwo przedmiotu nie pozwala nam wyczerpać wszystkich zasobów faktycznych, stwierdzających wygłoszone tutaj poglądy. Czytelników, którzyby rzecz tę poznać chcieli gruntowniej, odsyłamy do dziełka Ribota *Choroby woli*, gdzie znajdą też potrzebne wskazówki, dotyczące innych badaczy i autorów.

J. K. Potocki.

PRAWA ROZWOJU SPOŁECZNEGO.

I.

Dotychczasowa nauka o społeczeństwie przez większą część wyznawców swoich uprawianą była więcej sercem, aniżeli rozważającym na zimno rozumem. Nie ograniczono się na zbadaniu tego, co jest, ale raczej za właściwy punkt wyjścia brano to, co być powinno lub byćby mogło. Uczucia przecież, pragnienia i zamysły złe oddają usługi każdej wogóle umiejętności. Dokładny doszły naprzykład studya przyrodnicze, któreby postawiły sobie za cel poznać warunki życiowe świata zwierzęcego ze stanowiska obyczajowości i miłosierdzia? Wprawdzie w przebiegu walki o byt, jaką toczy ród ludzki, wielką też mają donioslość potęgi umysłowej i moralnej natury, większą, aniżeli się przypusz-

cza powszechnie. Lecz właśnie dla tego podwójnie niebezpiecznem jest o źródle i celu tych potęg mylne sobie tworzyć wyobrażenia. Etyczne poglądy nasze uważane są zwykle za sprężyny procesów rozwojowych ludzkości, podczas gdy rzeczywiście są one tylko głównemi ich następstwami. Okoliczność ta bynajmniej nie wyłącza faktu, że idee istniejące i pojęcia moralne zdolne są wywrzeć wpływ stanowczy na siły, kierujące losami naszemi; niemniej przeto prawdą pozostaje, że idee nasze są wynikiem kształtowania się rodu ludzkiego, a nie na odwrót. Idee te prowadzą nas na manowce, skoro zechcemy upatrywać w nich użyzniające siły przyszłości, są jednak w stanie naprowadzić nas na ślad prawdziwy, jeśli poznawszy rzeczywistą ich rolę w walce o byt, postaramy się dociec, jakie są moce elementarne, którym one same zawdzięczają powstanie swoje. Tylko niezmiennie trzymając się zasady, że przyroda nie zna innego prawa, jak prawo mocniejszego, innej moralności, jak moralność rozwoju gatunku — tylko wtedy można mieć widoki odnalezienia żelaznego prawa wogóle i związku pomiędzy faktami. Gdy zaś obowiązek ten raz zostanie wyjaśnionym, gdy jawnem będzie, dla czego musiało się stać to, co się stało — zjadą rozwiązanie nietylko zagadnienia przeszłości i teraźniejszości, nietylko widoczną będzie podstawa i treść naszych idej — lecz nadto zacznie się uchylać zasłona, która do chwili owej przyszłość rodu ludzkiego kryła przed okiem śmiertelnych. Widok tej przyszłości prawdziwie wspaniałe pozostawia wrażenie. Najśmielsze fantazye marzycieli socyalistycznych bledną obok obrazu postępu, bogactwa, potęgi i szczęścia, jaki roztaczają przed nami trzeźwe, zimne badania. Jak cuda astronomii przewyższają baśnie astrologów i teologów, podobnie faktyczny pochód rozwoju ludzkości zaćmiewa dziecinne mrzonki Cabeta i Fouriera. A bezstronny rozbiór tego, co się działo i dzieje, bynajmniej nie w mglistą dal usuwa tę fazę, lecz w uchwytnej, bezpośredniej ukazuje nam ją przyszłości — powiada, że znajdujemy się dziś w epoce przejściowej, wprost łączącej się z tą fazą.

Na takich mniej więcej zasadach Teodor Hertzka zbudował nową teoryę reformy socyalnej, która, jak zapewnia, nietylko że w zupełnej zostaje zgodzie ze wszystkiemi zjawiskami życia społecznego, lecz nadto każde z nich w sposób przekonywający tłomaczy; która nie za pomocą rozumowań w świat faktów została wtłoczoną, ale wprost z faktów tych w drodze empirycznej wysnutą *). Warto bliżej przyjrzeć się jego wywodom.

Celem rozwoju społecznego jest, wedle niego, sprawiedliwość ekonomiczna. Sprawiedliwość ta niema nic wspólnego z ideą bezwzględnej równości, głoszonej przez komunistów, owszem uważa ona za warunek konieczny samodzielną odpowiedzialność gospodarczą każdej z osobna jednostki, a szczytem jej jest urzeczywistnienie zasady „suum cuique.“ Pod własnością zaś każdemu przynależną rozumie nieuszczuplony dochód z pracy własnej. Istniejący porządek społeczny zasady tej jeszcze w czyn nie wprowadził; hasłem jego ekonomicznem jest nie sprawiedliwość, ale wyzyskiwanie; nie pracownik, lecz pan jego rości prawo do owoców pracy. Tak zwana dobrowolna umowa najmu właściwie co do formy tylko, a nie co do istoty swojej różni się od niewolnictwa starożytnego lub średniowiecznego poddaństwa.

Rozwijając te myśli, autor zwraca uwagę, że jakkolwiek i w czasach dawniejszych również podstawą ustroju społecznego było wyzyskiwanie, to jednak, tak starożytność, jako i wieki średnie zupełnie w tej mierze były konsekwentne. W parze bowiem z wyzyskiwaniem w życiu praktycznem szło u nich ustalone pojęcie prawne o przyrodzonej nierówności ludzi, o istnieniu klas uprzywilejowanych i paryasów. W teraźniejszości natomiast pomiędzy teoryą a praktyką istnieje przepaść straszna, niczem niezapełniona: przyznajemy wszystkim ludziom wolność i równość, dajemy każdemu prawo nieograniczonego rozporządzenia swoją osobą, prawo głosu w sprawach publicznych, a zapominamy, że wielu, może najwięcej z nich, pozbawionych jest możności wykonywania najpierwszego i najważniejszego z praw ludzkich — prawa życia. „W społeczeństwie — powiada — w którem z wyjątkiem powietrza wszystko ma swojego właściciela, w którem zrodziły się potrzeby i przyzwyczajenia, nie mogące być zaspokojonemi bez własności, bez owego skarbu wiedzy i pomocy nagromadzonego z przeszłości — w takiem społeczeństwie, dla nieposiadających — wolność i równość są pustym dźwiękiem.“ Liberalizm nowoczesny — dowodzi dalej — podobnie jak nie zdołał usunąć lub złagodzić przynajmniej wyzyskiwania ekonomicznego, tak samo nie podniósł dobrobytu ludzkości ani pod względem materyalnym, ani umysłowym. Wślad za nim wprawdzie wzrosły niepomiernie bogactwo, wykształcenie i humanitarność — niemniej przeto bez zaprzeczenia powiedzieć można, że w stuleciu, na którem on wycisnął piętno swoje, pomimo wszelkich postępów cywilizacyi, nietylko wielkie masy wyzyskiwanych, ale wszyscy ludzie wogóle — włączając w to i klasy uprzywilejowane — nieszczęśliwsi są, aniżeli kiedykolwiek przedtem, jak daleko zasięga pamięć dziejowa. Nigdy użycie nie było większem, bardziej upowszechnionem nawet, aniżeli obecnie, a pomimo to życie ludzkie nigdy mniej nie miało powabu. I nie jest to prosty przypadek tylko, że dzieckiem wieku liberalizmu i oświaty jest pesymizm, i to pesymizm, nie jako pogląd życiowy szczupłej garstki dziwaków, lecz jako rys zasadniczy zapatrywań przeważnej większości wszystkich ludzi myślących. Nam świat wydaje się złym, podczas gdy przodkowie nasi uważali go za dobry, dla tego, że przebieg stosunków obraża pojęcia nasze o prawie i bezprawiu, odnośne poglądy zaś przodków naszych zadawalniał w zupełności. Ubóstwo i nędzę poczytywali oni bądź za los pospólstwu przynależny, bądź w najgorszym razie za zło przemijające, za które niechybnie czeka nagroda po śmierci. My te same stany uważamy za najgorsze z nieszczęść, uznajemy w pracownikach jęczących pod uciskiem wyzyskiwania równouprawnionych braci naszych, nie mamy dla nich słowa pociechy, a pomódz im nie możemy — cóż dziwnego, że oburzenie i zgroza ogarniają każdego, czyja myśl i uczucie idą dalej, aniżeli troska o własne „ja?“

Niedorzecznością przecież byłoby logiczną i historyczną uznawać istniejący porządek ekonomiczny, za coś wiecznego i niezmiennego, podobnież jak fałszem by było w porządku tym nigdy nieustającą upatrywać niesprawiedliwość. Jest on koniecznością i dla tego usprawiedliwioną fazą rozwojową w procesie cywilizacyjnym ludzkości. Wyzyskiwanie jest koniecznością cywilizacyjną, dopóki dochód z pracy ludzkiej przeciętnie jest tak małym, iż przy największych wysiłkach niepodobna wytworzyć więcej, aniżeli potrzeba na utrzymanie życia zwierzęcego, gdyż wyższy stopień cywilizacyi większe każe przypuszczać potrzeby, te ostatnie zaś przy tak niskim stanie produkcyjności tylko w drodze wyzyskiwania zaspokojone być mogą. Skoro produkcyjność wzrośnie tak dalece, że praca niewyzyskiwana starczy na pokrycie większych potrzeb — wtedy, zdaniem autora, wyzyskiwanie najprzód stanie się zbytecznem, a potem szkodliwem i zniknąć musi na mocy tej samej zasady rozwojowej, której zawdzięcza powstanie i upowszechnienie swoje, a mianowicie na mocy tej okoliczności, że wśród walki o byt ostają się urządzenia dla celów cywilizacyjnych pożyteczne, a giną szkodliwe. I dziś już, podług dalszego twierdzenia Hertzki, wskutek postępów nauki i techniki, produkcyjność w cywilizowanych krajach zachodu faktycznie podniosła się do tego stopnia; iż nieuszczuplony dochód z pracy byłby wystarczającym na umożliwienie każdemu z pracujących zaspokojenia znacznej ilości potrzeb. Że jednak ubóstwo i nędza są udziałem mas — przyczyna leży nietylko w tem, że część dochodu z pracy pochłania mniejszość uprzywilejowana, lecz bardziej jeszcze w tem, że z powodu owego wyzyskiwania mas właśnie produkcya jest wstrzymaną.

Na dowód, jak dalece spotęgowaną została w naszych czasach wydajność pracy, a tem samem wzrosło bogactwo, przytacza cyfry zebrane przez Engla w dziele *Wiek pary*. Z cyfr tych okazuje się, że drogi żelazne i inne przedsiębiorstwa zapomocą pary obsługiwane (wynalazek ostatnich lat pięćdziesięciu) wyobrażają kapitał 120 miliardów złotych reńskich, oraz stanowią równoważnik siły 5 miliardów ludzi. Jeśli zaś sumy te rozdzielimy pomiędzy ludy Europy zachodniej i Ameryki, to jest pomiędzy owe 400 milionów ludzi, w obrębie panowania których znajdują się wszystkie te przedsiębiorstwa — na każdą głowę przypadnie kapitał produkcyjny 250 guldenów i siła 12 ludzi, a na rodzinę każdą 1,250 guldenów i siła 60 ludzi.

„Czemże są — mówi autor — owe siły pięciu miliardów w postaci machin najróżnorodniejszych, jeśli nie pomocnikami w pracy, zostającymi do rozporządzenia ludów Zachodu i mogącymi im także same, lecz w rozleglejszym zakresie oddawać usługi, jakie oddawali niewolnicy panującym narodom świata starożytnego? Obliczono, że w dawnych Atenach na każdą rodzinę obywatelską przypadało 10-u niewolników, a działalność tych niewolników właśnie umożliwiała ateńczykom życie bez trosk i uprawę sztuk i nauk. Na jednego niewolnika ateńskiego my mamy ich sześciu, a nasi niewolnicy posiadają jeszcze tę wyższość, że bez zmęczenia i bez szemrania pracują nieustannie, karmieni jaknajlichszą strawą, mianowicie podsycani jedynie kilku kawałkami węgla i niewielu kroplami oliwy.“

Powszechne mniemanie, jakoby praca wyzyskiwana była przez kapitał i ten ostatni niesłusznie zagarniał część z jej owoców — nazywa błędem zasadniczym, dowodząc, że kapitał, jako sam stanowiący pracę, pracę zaoszczędzoną, przeszłą, również do produkcyi się przykłada, jak praca obecna, żywa i jako taki niewątpliwie ma prawo do udziału w dochodach z tej produkcyi. Chcieć mu tego zaprzeczyć, byłoby to samo, co upatrywać przyczynę wyzyskiwania robotników w maszynach i postępie technicznym.

(D. c. n.).
Ad. J. Cohn.

*) Teodor Hertzka. *Die Gesetze der socialen Entwickelung*. Lipsk, 1886, str. 300.

HISTORYA.

Tadeusz Korzon. **Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta.** Tom czwarty, część I. 1886 r.

Sumienna praca p. Korzona (z trzech pierwszych jej tomów pomieściliśmy poprzednio obszerne sprawozdanie) wkrótce już dobiegnie końca. W części pierwszej t. IV, która stanie właściwie za tom, liczy bowiem 320 stronic, autor mówi o rządzie Rzeczypospolitej i działalności machiny admini-

stracyjnej w dwóch pierwszych okresach badanej epoki, tj. od początków panowania Stanisława Augusta do pierwszego rozbioru i od tej daty do sejmu czteroletniego. Nie czekając na dokończenie, które zapewne niezadługo nastąpi, dajemy ocenę części dzieła, gdyż stanowi ona skończoną w sobie całość, przedstawia obraz rządu polskiego; w ostatnim bowiem okresie mowa być może tylko o planach urządzeń, które nie weszły w życie, o czynnościach przygotowawczych do reform lub też o instytucyach czasowych, doraźnych, wywołanych potrzebami chwili. Autor słusznie bardzo nie bierze za podstawę swych badań pojęć i systemu prawa pospolitego polskiego, ale opiera się na ogólniejszych zasadach nowożytnego prawa państwowego. Nie mówi więc ani o władzy króla i senatu, ani o licznych dostojeństwach nie-senatorskich, ani o urzędach ziemskich i grodzkich, ponieważ przeważna większość ich była tylko czczym tytułem. Wszystkie dawne urządzenia wegetowały bezczynnie, dla ożywienia a nawet podtrzymania działalności państwowej trzeba było tworzyć nowe władze, i rzeczywiście w ciągu panowania Poniatowskiego, pomimo przeszkód i wahań, kształtuje się rząd nowy, powstają przynajmniej zawiązki prawidłowej administracyi. Zgodnie z tendencyą swego dzieła, którą jest, jak już zaznaczyliśmy dawniej, wykazanie żywotności narodowej w chwili upadku politycznego, p. Korzon głównie zwraca uwagę na działalność władzy wykonawczej, pobieżnie wspominając o sądownictwie, stosunkowo słabo wpływającem na losy zagrożonego narodu i państwa. Mniej jeszcze mówi o władzy prawodawczej, ponieważ w innych działach wykładu poświęcił jej wiele ustępów, oraz dlatego, że ona w znacznej części należy do historyi politycznej.

Od czasu ustanowienia trybunałów litewskiego i koronnego sądownictwo w Polsce było zupełnie niezależnem. Nietylko apelacye przestały iść do tronu, ale król nie miał nawet prawa łaski. Wprawdzie *Volumina legum* zawierają liczne ułaskawienia, nie są to jednak akty osobistej woli monarchy, lecz konstytucye w drodze zwyczajnego głosowania uchwalone przez Izby. Były to więc jedynie objawy wszechwładztwa parlamentarnego, w imię którego sejmy polskie przywłaszczyły sobie władzę wykonawczą i mieszały się do sądownictwa, wyznaczając np. w sprawach szczególnej wagi komisye sądowe z władzą wyrokowania w ostatniej instancyi.

Niezależność sądownictwa w Polsce nie znaczyła bynajmniej rozdziału jego z administracyą. Każdy urząd posiadał moc i organy do karania wykroczeń w zakresie swej działalności. Nie mówiąc już o sądach wojennych (krygsrechty), komisya skarbowa sądziła sprawy o fałszerstwo monety, przemytnictwo, nadużycia celne; marszałek wielki, przedstawiający coś w rodzaju naczelnika policyi, miał swoje sądy, którym podlegały wszystkie przestępstwa kryminalne, spełnione w promieniu milowym dokoła siedziby królewskiej. Istniały wreszcie sądy asesorskie, zależne od panującego, jako właściciela królewszczyzn i referendarya — do spraw z dzierżawcami ekonomij i starostami; członkowie tych instytucyj w znacznej części wybierani byli przez sejm. Sądy niektóre mogły wydawać nawet wyroki śmierci w formie ostatecznej. I niższe organy administracyi, jak np. komisye porządkowe cywilno-wojskowe, ustanowione w r. 1789 urządzają sobie posiedzenia sądowe i wyrokują w sprawach, co prawda, drobnych, skazując winnych na areszt i plagi.

Dla milionowego tłumu chłopskiego, zwłaszcza zaś dla poddanych były sądy oddzielne, a właściwie jedyny— samowola pana. W 1768 r. zabroniono dziedzicom karania poddanych śmiercią, ale obficie stosowane batogi pozwalały tyranom obchodzić ten zakaz. „Szlachcic w swojej osobie nosił wszystkie instancye i sam był wykonawcą swoich wyroków.“ Żydzi własne spory załatwiali przed rabinem i kahałem. Mieszczanie wreszcie mieli oddzielne sądy, które wyrokowały według ortylów prawa magdeburskiego i odznaczały się zbytnią surowością, szczególniej w małych miasteczkach. Z tego powodu w 1776 odebrano prawo magdeburskie stu kilkudziesięciu miastom. Nakoniec sądom duchownym podlegali nietylko księża, lecz i osoby świeckie w sprawach, rozstrzyganych na zasadzie prawa kanonicznego.

Autor zwraca głównie uwagę na sądy szlacheckie. W pierwszej instancyi były sądy ziemskie w sprawach cywilnych i grodzkie — w karnych. W tych ostatnich powinni byli prezydować starostowie ale oddawna zaniechali tego obowiązku i mianowali tylko komplet sądowy, złożony z czterech osób. Przy „grodach“ znajdowało się zawsze archiwum, ponieważ wszelkie akty czy to publiczne, czy prywatne, manifest osobisty jakiegoś szlachcica czy uchwała sejmowa, dla pozyskania prawomocności musiały być do ksiąg grodzkich podane („oblatowane“.)

Od tych sędziów służyła apelacya do trybunałów koronnego i litewskiego, ale i w tej najwyższej instancyi panowała zasada wyborcza. Komplet sądowy składał się nie z prawników, lecz z deputatów świeckich i duchownych, którzy nieraz o prawie pojęcia nie mieli. Wybieralność zapewniała niezależność sędziów, ale wobec słabości władzy rządowej i tyranii opinii szlacheckiej, mianowanie ich bardziej podtrzymywałoby niezawisłość.

W postępowaniu sądowem widzimy zachowywane ściśle zasady: jawności, rozpraw ustnych, oskarżania i obrony, posunięte nieraz do przesady; w całej Europie ówczas, z wyjątkiem Anglii, istniał wszędzie proces śledczy (inkwizycyjny), oparty na protokółach piśmiennych. Ponieważ nie było w Polsce urzędu prokuratorskiego, żaden przestępca nie mógł być sądzonym, dopóki nie znalazł się oskarżyciel, który nietylko musiał sam zbierać dowody winy, ale również przystawić do sądu oskarżonego, pilnować go i poddać się rygorowi prawa przeciw oszczercom.

Słusznie zauważył p. Korzon, że pomimo wielu stron dodatnich sądownictwo polskie ściągnęło na siebie więcej zarzutów, niż jakakolwiek inna instytucya Rzeczypospolitej. Nietylko potępili je potomni, ale ganili współcześni. Trybunały były igraszką stronnictw, kadencye sądowe — jednym ciągiem uczt pijackich, pomawiano powszechnie sędziów o przedajność, skarżono się na wykręty adwokatów, przewlekających umyślnie sprawy cywilne, wreszcie na oburzającą słabość środków karnych. Autor stara się zbić te zarzuty lub przynajmniej osłabić ich doniosłość — nie powiem jednak, żeby szczęśliwie. Pierwszy argument, że „nawet u tych narodów, które podały światu wzory urządzeń prawnych“ znajdują się haniebne wyjątki — jak np. w Rzymie procesy o obrazę majestatu, w Anglii „krwawe posiedzenia“ (the Bloody-Assiscs) itp. niczego nie dowodzi. Mniej jeszcze znaczy świadectwo, że o większości marszałków trybunału w tej epoce „nic złego nie mówiono,“ lub takie zeznanie współczesne, że w 1785 r. „trybunały były trzeźwe,“ bo to właśnie jest dowodem, że inne bywały pijane. P. Korzon sądzi, że niepodobna prawie przypuścić przedajności, ponieważ grono deputatów składało się z 30 osób, a niezbędny komplet z 7. Lecz czyż potrzeba było dawać łapówki wszystkim, wystarczało zjednać sobie większość lub kilku nawet wpływowych. W obronie sądownictwa polskiego posuwa się autor tak daleko, że nawet zdania, iż w „Polsce łatwiej stracić życie niż własność,“ używa jako argumentu na korzyść procedury cywilnej, która „osiągała pomyślnie swój cel główny — obronę własności.“

Represya karna nie była właściwie słabą, lecz niejednostajną. Kara śmierci stosowana była często, częściej jeszcze kara wieży, straszniejsza może, bo powolnie zabijająca więźnia. Sądy marszałkowskie tylko w ciągu lat 10 wydały 59 wyroków śmierci. Ludzi niższych stanów bez ceremonii skazywano na gardło. Gurowski, podkom. gnieźnieński woła: „Mało-ż wieku mojego popalonych było za czary, oddanych pod miecz za gusła, za zarzut bez dowodu zgubionych najsurowszemi mękami.“ To samo powiada biskup Massalski: „za czary palić dotąd nie przestajemy, torturę jako potrzebny i najpewniejszy sposób konwikcyi uznawać nie przestajemy.“ Nie mówiąc o okrutnem prześladowaniu hajdamaków, usprawiedliwionem poniekąd okolicznościami nadzwyczajnemi, zaznaczymy tu fakt, że w 1789 r. komisye prowianckie (tak!) skazały na śmierć na Wołyniu około 100 chłopów i t. z. markietanów (kramarzy rosyan) oraz księdza unickiego. P. Korzon przytacza wiele wyroków, które wystarczyć mają dla sprostowania twierdzeń o bezkarności złoczyńców w Polsce; są to najczęściej protokoły komisyi porządkowych, powołanych bynajmniej nie do wymiaru sprawiedliwości, co świadczy chyba o tem właśnie, że sądy zwyczajne nie spełniały, jak należy, swych czynności, kiedy je inne instytucye zastępować musiały. Autor sam podaje wiadomości, że więzień porządnych nigdzie prawie nie było; w głównym zakładzie karnym w Kamieńcu znajdowało się zaledwie 200 więźniów. Pomimo tego utrzymuje, że aparat sądowy działał w Polsce jak należy, ponieważ główny cel jego—bezpieczeństwo publiczne było w zupełności zapewnione. Świadczą o tem nietylko głosy cudzoziemców, jak Rulhiere'a, Coxe'a, Biestera, którzy dziwią się, że zbrodnie są tak rzadkie; że podróżni nigdzie narażeni nie byli na niebezpieczeństwo, Coxe opowiada, iż podczas podróży nic mu nie zginęło. Co kwartał przewożono do Warszawy z kas prowincyonalnych wielkie sumy w żydowskich brykach, pod eskortą jednego lub dwóch strzelców i raz tylko transport taki został złupiony, ale przez hajdamaków, nad granicą turecką. Fakty te dowodzą bezwątpienia, że poziom moralny narodu nie stał nisko, nawet przy braku wszelkiej represyi, ale w żadnym razie nie można ich używać jako argumentów na korzyść systematu sądowego, ani też mówić o jego wpływie etycznym.

Niepodobna szczegółowo rozbierać innych rozdziałów pracy p. Korzona, ogrom faktów bowiem nie daje się streścić. Zresztą główną jej zaletą jest to właśnie, że każdy wniosek ogólniejszy poparty jest tu całym szeregiem danych, w streszczeniu zaś uwagi autora nie miałyby tych znamion, które właśnie nadają im moc i wagę. Działalność władzy prawodawczej przedstawiona dość pobieżnie, znaną jest powszechnie z dziejów politycznych Rzeczypospolitej. Największą i najciekawszą część dzieła stanowi wykład urządzenia władz administracyjnych i stopniowych przeobrażeń, jakim one podlegały. Sławny „nierząd“ polski wyrażał się przedewszystkiem w braku wszelkiej administracyi cywilnej i wojskowej. Mała garstka wojska pod niedołężnem dowództwem hetmanów, kilka nielicznych kancelaryj przy ministrach i kilkudziesięciu pachołków i „węgrzynów“ pilnujących porządku w stolicy — oto cała machina rządowa w Polsce za Sasów. Ale już w pierwszych latach panowania Stanisława Augusta skutkiem reformy Czartoryskich powstają t. zw. cztery juryzdykcye, o podwójnych kompletach dla Litwy i Korony, będące zawiązkiem administracyi prawidłowej. Główna uwaga reformatorów zwrócona była na skarbowość, ta gałąź zarządu rozwija się

i wyrabia sobie dosyć liczny zastęp urzędników. W braku innych władz organy skarbowe zmuszone są nieraz pełnić czynności, nic wspólnego nie mające z ich właściwem zadaniem. W badaniach swoich p. Korzon najbardziej uwzględnia skarbowość, więc też obraz zarządu finansowego wychodzi w całości jasnym i dokładnym, w szczegółach zaś zbyt może nawet drobiazgowym. Jakkolwiek dział ten administracyi posiadał wiele braków, jest on jedynym, który jako tako odpowiada wymaganiom porządku państwowego. Czynności odbywają się prawidłowo, wyrabia się nawet pewna rutyna biurokratyczna; ten typ urzędnika polskiego z czasów późniejszych, posiadający niezaprzeczone zalety, których wyrobienie przypisywano wpływom administracyi pruskiej i austryackiej w czasach porozbiorowych, znajdujemy już tutaj w głównych swych rysach zupełnie podobnym.

W zarządzie wojskowym zachodzą również zmiany dość ważne, chociaż bowiem siła liczbowa armii wzrasta nieznacznie, powstają jednak urządzenia, które wzmacniają odporność bojową narodu. Głównie z inicyatywy króla zakładają się arsenał, odlewnia dział, wreszcie szkoła rycerska, czyli korpus kadetów, z której wyszło tylu ludzi dobrze zasłużonych krajowi. W pierwszym okresie także powstaje dyrekcya poczt.

W okresie drugim mamy już wyższą władzę administracyjną, jest to osławiona Rada nieustająca, która pomimo politycznego służalstwa zrobiła wiele dobrego dla uporządkowania administracyi państwowej. Obszernie i wyczerpująco kreśli tu p. Korzon działalność sławnego Tyzenhausa, w. podskarbiego litewskiego, która była i jest jeszcze przedmiotem tylu szumnych panegiryków i z godną zaznaczenia odwagą obywatelską nazywa właściwem mianem tego zwiastuna polskiego kapitalizmu. Poprzednio już (w rozdziale 46) autor wykazał, że ów wielbiony plan stworzenia wielkiego przemysłu nie miał żadnych rozsądnych podstaw, ale gdyby miał je (nawet, to sposób jego wytworzenia, wraz z całą działalnością publiczną Tyzenhausa — jest szeregiem przestępstw urzędowych, które tylko w Polsce bezkarnie ujść mogły. Nadużycia służbowe, przywłaszczenie funduszów skarbowych, fałszerstwa, oszustwa połączone z niecnotą polityczną, z matactwem wyborczem, z przekupstwem i teroryzowaniem opinii publicznej — są to zbrodnie tak wielkie, że nie okupiły by ich nawet najświetniejsze rezultaty ekonomiczne, a cóż dopiero założenie kilku fabryk lub polepszenie gospodarstwa w ekonomiach królewskich. Tyzenhauzowi liczą za zasługę, zwłaszcza historycy szkoły monarchicznej, że starał się on wytworzyć stronnictwo królewskie, ale nie było to stronnictwo, działające w imię zasad, lecz klika, kierująca się interesem osobistym. Trzeba zresztą wziąść na uwagę czas, w którym to się działo. Stanisław August był wtedy potulnym sługą Stackelberga i działał do spółki z Ponińskim. Postępowanie Tyzenhauza polegało na urządzaniu „sprośnych“ sejmików, na przekupywaniu posłów i używaniu dla postrachu komend obcych. Zausznikami swymi obsadził on wszystkie urzędy, sądy nawet bezwzględnie były mu posłuszne. Współcześni opowiadali o gwałtach i łupiestwie podskarbiego straszne rzeczy; wieściom tym można nie dawać wiary, ale np. świadectwo Staszyca zasługuje na uznanie: „Niejeden obżarty szczur, jak niegdyś bezsumienny Tyzenhauz, równie prędko cudzą wieś niszczy.“ Oskarżony przed sejmem podskarbi bronił się nieudolnie i argumentował w ten sposób, że księgi rachunkowe zaginęły, lub że w obliczeniu popełniono widocznie omyłkę itp. Uszedł jednakże zasłużonej kary, kazano mu bowiem zwrócić skarbowi straty i to tylko wyraźnie udowodnione i z ostatniego dwulecia, które wynosiły około 800,000 złp. Był to chyba wyrok, nawet z uwzględnieniem samorodnego geniuszu i planów ekonomicznych — bardzo łagodny. „Bystry dowcip“ Tyzenhauza zrujnował bowiem skarb litewski, zwyczajne zaś przeniewierstwa wynosiły znacznie więcej. Surowa, ale słuszna ocena działalności Tyzenhauza, nacisk położony na stronę moralną jego czynów stanowią, jak powiedzieliśmy, chlubny dowód odwagi obywatelskiej p. Korzona, a szczerość taka tem bardziej podniesioną być winna, że w sprawach tego rodzaju tracimy zupełnie zmysł moralny. Nietylko Tyzenhauz, ale i późniejsi naśladowcy jego z Banku polskiego znajdują obrońców, ba, nawet wielbicieli „szerokich planów stworzenia przemysłu polskiego.“ Świeżo w Krakowie wyszła broszura, która usprawiedliwia, podnosi nawet obywatelskie znaczenie przeniewierstwa, jakiego dopuścił się hr. Łubieński; publicystyka zaś od dawna uwielbia zarówno genialnego podskarbiego jak i jego naśladowcę. Skromny jest nasz Panteon narodowy i aby go zapełnić, wprowadzamy doń nieraz ludzi zasług miernych, często wątpliwych, ale lepiej pewne działy jego zostawiać pustymi, aniżeli pomieszczać w nich postacie „ożywionych wielkimi zamiarami i najlepszemi chęciami“ — złodziejów grosza publicznego.

W obrazie działalności zarządu wojskowego uwydatnia p. Korzon zasługi generała Komarzewskiego, ale i tego niegdyś zapomnianego, a potem zbyt podniesionego człowieka sprowadza do właściwej, bardzo skromnej miary. Reformy w zarządzie policyi, utworzenie komisyj *boni ordinis*, wreszcie pobieżna wzmianka o komisyi edukacyi narodowej, kończą treść dzieła. O komisyi edukacyjnej p. Korzon powie zapewne obszerniej w okresie 3-im. Przedmiot ten, pomimo że względnie dosyć starannie jest już opracowanym, zasługuje bowiem na szczególną uwagę.

Jak w poprzednich tomach, tak i w tym rzeczy litewskie, z wyjątkiem sprawy Tyzenhauza, traktowane są pobieżnie. P. Korzon usprawiedliwia się brakiem materyału i wobec naszych warunków pracy naukowej wymówkę tę przyjąć musimy, chociaż, jak wiadomo, materyały potrzebne zebrać by się dały. Biorąc na uwagę przeszkody, jakie spotykać musiał w badaniach swoich człowiek prywatny, pozbawiony poparcia materyalnego, wstrzymać się musimy od wszelkich zarzutów tej pracy wytrwałej i mozolnej, która wydała tak piękne i tak obfite rezultaty.

W—t.

LITERATURA I SZTUKA.

JAN LAM.

III.

Powiedziano Lamowi i on sam czuł, że jego *Wielki świat Capowic* i *Koroniarz w Galicyi* — są to tylko pamflety. Postanowił tedy napisać powieść wolną od zaprawy polityczno-społecznej, od papryki, którą wyrabiał w swych feljetonach. Istotnie *Głowy do pozłoty* (1873, tomów trzy) odróżniają się od poprzednich utworów zarówno tonem poważniejszym, jak i treścią szerzej roztoczoną i nie przerywaną ustawicznie nawiasami *ad hominem*. O ile robota z dnia na dzień, sztukowana pomysłami późniejszymi, wnosić pozwala, natchnienie autora do tej powieści wypłynęło z następujących spostrzeżeń: „Jeżeli niejedna sprawa, wymagająca ogólnego poparcia — mówi on — idzie u nas jakoś oporem, mimo powszechnego uznania jej ważności, jeżeli zostaje niezrozumionem niejedno, coby się koniecznie zrobić powinno i czego interes ogólny wymaga, to zawsze połowa tylko winy spada na ludzi złych, na intrygantów, na nieprzyjaciół dobra publicznego; drugą połowę tej winy dźwigają najzacniejsi, najpoczciwsi pod słońcem ludzie, ludzie prawi i rozumni, ludzie, którzy nie zapierają się nigdy swoich przekonań, ale którzy bądź to przez oziębłość, bądź z rzeczywistego zniechęcenia i ugruntowanego na smutnych doświadczeniach pesymizmu, mają w ustach najczęściej ów nieużywany w piśmiennym języku wykrzyknik: „Et!“ Wykrzyknikowi temu towarzyszy zwykle pełne zwątpienia i rezygnacyi machniecie ręką, a czasem jeszcze parę fałszywych uwag takich, jak np.: „Co to wszystko pomoże?!“ — albo: „Na co się to wszystko przydało?!“

Przedstawicielem tej leniwej i biernej uczciwości jest w *Głowach do pozłoty* zacny komornik Wielogrodzki. Ponieważ ręką macha wielu, podłość skryta i jawna rozrasta się bujnie i swobodnie.

„U nas, moje dziecko — mówi autor przez usta o. Marcyana — kto raz pozorami uczciwości, dbałości o dobro powszechne i bezinteresowność, zręcznie nieraz użytym blichtrem poświęcenia, zyska mir, i uznanie, i sławę, ten staje się powagą, której nic oprzeć się nie zdoła, ten owłada wszystko! A im ciemniejszy i gnuśniejszy świat wokoło, tem łatwiej otumanić go i wodzić na pasku — byle raz oszust stanął na piedestale, złożonym z reputacyi i fortuny, może kraść grosz publiczny, niszczyć wdowy i sieroty, rozbijać i rabować pod pozorami prawnymi, szkodzić ogółowi, ile zechce, a wszystko ujdzie mu bezkarnie. Niech kto uczciwy i śmiały podniesie głos oskarżenia przeciwko jednemu z takich fałszywych proroków, wtedy cała ich szajka, poznawszy, że interes wspólny jest zagrożony, stanie w jego obronie i oskarżyciel, wśród oklasków głupiego motłochu, runie pod zarzutami kalumniatorstwa, niekarności, pod ciosami grubej i prostackiej broni, przeciw której rozum, dowcip i uczciwość tylko o rozumnych i uczciwych ludzi popłacają.“ „U nas w kraju — dowodzi wspomniany Wielogrodzki — istnieje pewien milczący i mimowolny karbonaryzm podłości. Jest dosyć ludzi, z których na każdym jest jakaś plama — spróbójmy zdemaskować jednego z nich, a zaraz wszyscy wezmą się za ręce i poczną krzyczeć: to fałsz, to infamia!“ Owego ubezpieczonego ogólnym szacunkiem i bezkarnością łotra przedstawia Klonowski, który, jako opiekun młodego Moularda, okradł go ze spadku, a tak rabował i innych, przekupywał sądy, trudnił się niecnemi spekulacyami, i mimo to używał wielkiego poważania i powoływany był na różne dostojeństwa.

Z tych spostrzeżeń i rozmyślań wyprowadził Lam bohaterów swej powieści, w której ciągle nić podłości splata się z niemi niedołęstwa, głupoty i bezsilnej cnoty. Edmund Moulaad (który opowiada swoje własne życie) po śmierci matki dostał się pod opiekę człowiekowi używającemu najlepszego imienia, a rzeczywiście oszustowi. Na szczęście znalazł od pociechę, pomoc i przeciwwagę w domu Wielogrodzkich, gdzie pokochał braterskiem przywiązaniem ich przybraną córkę Herminę. Natomiast rozgorzał (jeszcze jako młodziutki chłopiec) gwałtowną miłością do siostry swego kolegi — Elwiry Starowolskiej. Złodziejstwa Klonowskiego, słabo odpierane przez jego ofiary a osłaniane przez sądy, stosunek Moularda do Herminy, która jest jego aniołem opiekuńczym, i do Elwiry, która jest szatanem kuszącym, procesy, walki na pięście, usta i pióra, intrygi motane na sposób romansów francuskich, ciągłe rozczarowania i zawody

w duchu uwag wyżej przytoczonych, wypełniają powieść, której koniec ukazuje nam: Moulard ożenionego z Herminą i obdarowanego wielkim spadkiem po wuju angliku, Elwirę poślubioną młodemu Klonowskiemu kryminaliście, wreszcie jego ojca ginącego pod kołami lokomotywy, gdy spieszył dla opłukania się wykrętami i przekupstwem z moralnego błota.

Powieści do druku pisane kawałkami, w kawałkach mają wartość. Nie tworzą one nigdy jednolitej całości, stanowią brulion, któremu brak ostatnich poprawek, spajających i godzących różne części, wyglądają zwykle jak grupa terakotowa, której artysta nie wygładził, nie wymodelował należycie — i wypalił. Każdy autor wie, jak mu pomysł pierwotny zmienia się w rozwinięciu, jak pod pióro nasuwają inne szczęśliwsze natchnienia, które z poprzedniemi nie harmonizują; cóż zrobi, jeżeli wszystko, co przedtem napisał, utrwalone już jest w druku? Ślady takich późniejszych natchnień znajdujemy we wszystkich powieściach Lama, znajdujemy również w *Głowach do pozłoty*. Przyznać jednak trzeba, że i tu talent zdołał ustrzedz się wielu potknięć. Można dostrzedz, że komornik Wielogrodzki nabrał w ciągu wypadków energii, której mu autor w założeniu odmówił, że Moulard zbyt często musiał „podsłuchiwać“ dla przeniknięcia zamiarów Klonowskiego, że za długo przewlekał z nim znajomość, którą powinien był dawno przerwać — itd., ale niepodobna zaprzeczyć, że np. charakter kokietki—Elwiry, umiał Lam od początku do końca rozwinąć mistrzowsko i logicznie. Jest to postać nakreślona z nadzwyczajną subtelnością i urozmaiceniem rysów.

Skutkiem przemian, jakim w ciągu pracy uległ pierwotny pomysł, trudno orzec, które właściwie „głowy“ przeznaczył autor „do pozłoty.“ Przysłowie „pozłaca“ głowy głupie, których w powieści jest niewiele. Do jej tytułu więc nie należy przywiązywać żadnej wagi, lecz uznać ją za obraz obyczajowy, przedstawiający lękliwą uczciwość w niewoli u zuchwałej podłości. Niewolę tę Lam uwydatnił mnóstwem stosunków i scen, o których nawet nie wzmiankowaliśmy, szeregiem uwag bardzo trafnych, nieraz bardzo głębokich, a poczerpniętych z naszego życia. Pod tym względem jest to jedna z najznakomitszych krytyk polskiej natury i polskich wad, tkwiących w niedołęstwie, próżności, w braku odwagi cywilnej, a przedewszystkiem w głupocie. „Przez całe swoje życie — mówi Moulard — cierpiałem wiele od ludzi głupich, a dobrego doświadczyłem tylko od rozumnych...“ Bezpośrednie i pośrednie wnioski, wynikające z toku powieści, brzmią gorzkim pesymizmem. „Widzę jasno — powiada tenże, zastępujący autora — że ani oburzać się, ani piorunować, ani boleć nad niczem nie warto. Jedyną rzeczą, godną filozofa, jest w moich oczach śmiech... Kochany czytelniku, jeżeli życie twoje snuło się tak gładko, jak nić przędzona ręką przychylnej czarodziejki, jeżeli nie mogłeś poczynić moich doświadczeń i doznać moich rozczarowań, a teraz dopiero, w późniejszym wieku zbiera cię cyceroństwa chętka zdemaskowania jakiego zbrodniczego Katyliny — wierz mi na słowo, idź do ogrodu i co masz powiedzieć, powiedz — głowom kapusty, bo one rozumniejsze są od głów ludzkiego tłumu, a przedewszystkiem cierpliwsze.“ Lam w żadnej warstwie nie dostrzega moralnego zdrowia, rozumu, energii, tych pierwiastków, które mogłyby posłużyć do odrodzenia narodu. Szlachta, którą głównie tu przedstawia, wyrywa mu tylko z piersi smutny okrzyk: „Rodzie prawdziwych szlachciców i prawdziwych rycerzy! Giniesz z dniem każdym — twoją ziemię wykupują Izaakowicze i Efraimowicze, twoimi herbami pieczętują się Klonowscy — tradycya nawet wkrótce zaginie o tobie — rodzie krótkowidzących a prawych, rodzie litościwych i miękkiego serca, a dzielnych i niezłomnych!“ „Jeżeli czasem zakwitnie cnota, natychmiast zgryzie ją oszczerstwo.“ „Nigdy nie obroni cię jawna twoja niewinność, ani powołanie się na fakty niezbite, nieulegające powątpiewaniu. Ludzie mają uszy dla obelg, dla przycinków, dla oskarżeń wszelkiego rodzaju, ale nie mają oczu dla faktów i prawdy, a słuchać sprawia im mniej mozołu i więcej przyjemności, niż patrzeć i badać.“

Pesymizm Lama, który leżał na gruncie wszystkich jego powieści i kronik, sączył się ustawicznie z jego najbliższego otoczenia, ze „ściślejszej“ — jak on mawiał — ojczyzny. W wyzwolonej politycznie, a rujnowanej i rujnującej się umysłowo i moralnie Galicyi nie mógł on widzieć ziemi obiecanej biednego narodu a nawet gałęzi zdrowej. Robactwo wszelkich gatunków ciągle po niej łaziło i niszczyło soki żywotne. Nadto — co było wielce zgubnem dla jego talentu — zamieszkał on w stolicy zbiedzonego i chorowitego kraju — we Lwowie. Nikt lepiej od niego nie określił tej bezpłodnej skały. „Nie jest to nawet miasto, ale coś nakształt wielkiej karczmy żydowskiej, leżącej przy uczęszczanym bardzo trakcie: nikt nie obiera jej dobrowolnie za stałe lub chwilowe miejsce pobytu, każdy rad z niej znika, ale stosunki zmuszają bardzo wielu do przebywania w niej pomimo błota, złej woni i niewygód wszelkiego rodzaju... O pielęgnowaniu sztuk, nauk, piśmiennictwa itp. niema mowy... z wszystkiego robi się tutaj prędzej lub później rzemiosło i handel, i nic nie oddziaływa głębiej i skuteczniej na kraj, nic nie znamionuje prawdziwej stolicy. Podczas gdy każde większe miasto jest niejako mózgiem swej okolicy, Lwów dla swojej bywa, co najwyżej, krzykliwą gębą. Któż bowiem zdoła myśleć swobodnie na złym popasie lub na niewygodnym noclegu, kto w lichej i śmierdzącej oberży umieści swoje lary i penaty, jeżeli wogóle posiada jakie bogi domowe?“

Wszystkie wpływy tej oberży odbijają się na pracach literackich Lama.

(D. c. n.).

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Ciągłe rozmachy i cięcia w powietrzu.— Ciężkie narodziny obrońców ziemi. — Cała ojczyzna i jej kawałki. — Wędrowny patryota francuski. — Piana szowinizmu. — Twory gwałtu. — Dwa sztandary. — Opalizowanie się polityczne. — Równouprawnienie szkół prywatnych z rządowemi. — Arcydzieła literatury powszechnej w bibliotece dziecinnej. — Dobroczynne światła *Kuryera warsz.* — Prawdy głębsze.

W każdej niemal korespondencyi z Poznańskiego spotykamy wyszarzaną od kilku miesięcy nowinę, że „grono chętnych i energicznych obywateli nosi się z myślą“ założenia jakiejś spółki, towarzystwa czy banku, mającego ratować ziemię polską ze szpon niemieckich. Ile razy zaś czekamy faktu, w który ta niedonoszona myśl wcieliłaby się bodaj częściowo, tyle razy gazety uwiadamiają nas, że „znowu jeden majątek polski zakupiony został przez rząd dla celów germanizacyi.“ Wobec tych dowodów „dobrej chęci i energii,“ zaczynam już wątpić, czy mityczne „grono“ cośkolwiek na tem polu zrobi. Zdaje mi się, że w żarna dziennikarskie będziemy jeszcze przez pewien czas wrzucali te plotki, z których się miele kurzawa polityczna, ale pomału i to ustanie, wszelkie odgrzoki umilkną i brzmieć będzie tylko: *drang nach Osten*! albo prostsze: *hinaus mit den Polen*! Na porządku dziennym stoi obecnie projekt utworzenia spółki kupieckiej, „nie bawiącej się w żadne fantazye, predylekcye, czułości i nepotyzmy“ a rządzonej przez „ludzi zaufania.“ Jest to rzecz arcyprzykra widzieć śmierć płodów poronionych i ruinę gmachów nierozważnie budowanych; ale u nas lepsza jakakolwiek robota, niż żadna. Może czytelnik zadał sobie trud zapamiętania mojej głębokiej wiary w nieudolność naszą do wszelkich działań i przedsięwzięć zbiorowych; gdybym był giełdziarzem, nie kupiłbym obligacyi stowarzyszenia „rdzennie rodzimego“ za pestki brzoskwiniowe. Potrzeba: wielkiego malarza, poety, filantropa, męczennika — obejrzcie się koło siebie i znajdziecie go tuż. Ale nie szukajcie daremnie dziesięciu ludzi ze wspólnym mianownikiem. Otóż mniemam, że napróżno duch okrawanej ziemi zwołuje do kupki jej bogatych synów w Poznańskiem i za niem. Odwołam, odkrzyczę, odżałuję słowa moje, gdy inaczej się stanie, gdy z tej mąki zamiarów chleb będzie — jakikolwiek — razowy, niedopieczony, z zakalcem — byle chleb. Byłbym zuchwałym pyszałkiem, godnym *tausendkünstlerów*, wytrząsających w prasie naszej z rękawa rady na wszystko, począwszy od czyszczenia plam tłustych, a skończywszy na filozofii, gdybym herbowym i nieherbowym, poznańskim i niepoznańskim kapitalistom naszym wskazywał drogę, którą bodaj częściowo odeprzeć mogą fale germanizacyi; ale na równi z każdym trzeźwym świadkiem niebezpieczeństwa myślę, że stawidła są tu niezbędne. Przestańmy od razu zbawiać całą ojczyznę i ratujmy najdrobniejsze jej kawałki, bo ona z nich się składa. Ginie już między nami gatunek polityków, tasujących i rozdających państwa europejskie, jak talię kart lub kreślących po mapie rzeczywistej fantastyczne podziały, ale nie urodził się jeszcze inny, któryby umiał mocno trzymać to, co ma w ręku i pomnażał własność drobnymi i nieustannymi dorobkami. O, wyrośnij takie pokolenie na skałach, ugorach, błoniach, wszędzie, a pleń się jaknajpłodniejsze ziarno i zgładź te osty, króre pokalały nam niwę. Bo słuchajcie, co pisze nie jakiś wrzaskliwy liberał, ale zabielający brudy szlacheckie — *Czas*:

„Doszła nas już wiadomość bezpośrednia, a pośrednio dowiadujemy się z gazet polskich i tryumfujących gazet niemieckich, że pewna liczba obywateli polskich, pod zaborem pruskim ofiarowała komisyi kolonizacyjnej swe majątki na sprzedaż. Jest to fakt zakrwawiający serce, przejmujący wstydem, a bodaj czy nie zgrozą. Pojmujemy, że w ciężkich stosunkach ekonomicznych i politycznych Księstwa niejeden obywatel znajdzie się w konieczności szukania kupca na majątek, a w braku ochotnego polaka w ostatecznym razie sprzeda go innoplemieńcowi. Ale nie wyobrażamy sobie, jak można mieć tyle czoła, czy też do tego stopnia go nie mieć, tyle odwagi, czy podłości, aby w pełnem świetle słońca żebrać ratunku u tej komisyi, która na naszą zagładę i wytępienie przeznaczona. Na to trzeba abdykacyi zwszelkich uczuć szlachetniejszych, abdykacyi z patryotyzmu, a nawet honoru. Nie jest to zaparcie się, ale wprost zaprzaństwo, a ze samobójstwem najwstrętniejszego rodzaju idzie tu w parze krzywda własnych chłopów, których się rządowi na łup wydaje, krzywda katolicyzmu, którego odwieczne dziedziny pokryją się niebawem koloniami i kościołami protestanckimi. Mówi się często. że łatwo, nie znając stosunków i ciężkiego położenia, dawać lekcye zdaleka; ale są lekcye, które można dawać nie będąc na miejscu, bo są uczucia i zasady, które do żadnego miejsca i czasu nie są przywiązane, przeciw którym nigdy i nigdzie wykraczać nie wolno. Słowem nie godzi się dla kapitału szafować kapitałem godności narodowej i jak rzymianin powiedział:

Et propter vitam vivendi perdere causas.“

Przydałby się nam polski Deroulède, któryby porzucił wszystko i, jak czajka, krążył nad głowami wszystkich narodów,

skarżąc się o zburzone gniazdo i wzywając pomocy przeciwko okrutnikom. Niemcy wylali już na niego upusty obelg, a on dla mnie (przynajmniej z daleka) jest ciągle czystym. Mały czy wielki, w każdym razie należy do tych rzadkich ludzi, którzy okazują olbrzymią miarę człowieczej energii. Śród mieszczańskich wrzasków o Tonkin, o Madagaskar, o zboże, o wina, o krawaty, on ciągle, jak niewolnik Katona, przypominał swym ziomkom powinność odwetu. Nie poprzestając na własnym kraju, zaczął wędrować po innych i wszędzie po drodze siał nienawiść do niemców— dla niego sprawców upadku Francyi — dla Europy — sprawców ogólnej niewoli i niedoli. Nikt nas nie lubi, tylko wszyscy nas się boją — powiedział kiedyś dumny zwycięzca w Berlinie. Deroulede zbiera obfite dowody dla tych słów. Gdzie bowiem wyrażny, chwilowy interes nie przeszkadza wylewom uczuć szczerych, wszędzie francuskiemu patryocie śpiewano w takt jego melodyi, wszędzie przyjmowano go życzliwie. Nieustraszony żadnem uprzedzeniem, podróżuje obecnie po Rosyi. Tu i owdzie osłonięto się przed nim wstrzemięźliwością, ale nigdzie nie zatajono sympatyi. Czy można powiedzieć za gazetami niemieckiemi, że to prosty krzykacz, warchoł, łowiec taniego rozgłosu, że on dla ojczyzny swojej nic nie zrobi? Bynajmniej. Mimo szurum-burum po otrzepaniu sedańskiem, Francya chętnie by spoczęła i zasnęła na poduszkach, wypchanych interesami mieszczańskimi, a nikt nią tak nie targa, nie budzi, jak Deroulede. Wszystkie jej gabinety musiały się liczyć z tym prądem i patrzeć nań przez szpary, mimo pokornych ukłonów dla ks. Bismarka. A czy zmienny wicher polityczny zatrze w innych krajach ślady wędrówki tego nieprzebłaganego wroga Niemiec?

Wszelki szowinizm jest pianą obłędu, wściekłości, a więc nie stanowi wdzięku natury ludzkiej. Cóż jednak ma się ukazywać, jeżeli nie ta piana, na ustach jednostek i narodów krzywdzonych, poniewieranych, kopanych, deptanych i rozpędzanych? Derouledy są koniecznymi wytworami naszych czasów, są jedynymi mścicielami krzywd bezsilnych. Głos ich choć nutą nienawiści przykry, rozdźwięczny, zgrzytliwy, jest jeszcze przyjemniejszy, niż sucha komenda gwałtu, niż okrutne nakazy zagłady, niż świst kul i mieczów, przeszywających piersi bezbronnych. Gdy z zakrwawionem namiętnie okiem, z czerwoną chorągwią odwetu, z sinemi ustami patryota francuski przebiega Europę, wzywając do wojny, dzienniki niemieckie rzucają za nim złorzeczenia obrażonej cywilizacyi i wywieszają uroczyście sztandar braterstwa ludów. Ale czemu ten święty sztandar nie powiewa na ich jatkach politycznych, gdzie zabijają owe ludy? Ofiary na rzeź przeznaczone bronią się, a nie mogą przecie bronić się pokorą.

Pod koniec lata życie nasze w odblaskach ogólnego zaczyna przybierać barwy polityczne. I wypadki, drzemiące pod skwarami „martwej pory," występują na widownię. Mamy już przecie nową rewolucyę bułgarską, kilka „chmurek" na wschodzie — kądziel do przędzenia rojeń na ulubiony temat gotowa. Ale nie bądźcie prządkami opowiadającemi sobie bajki lub rozwiązującemi zagadki dyplomatyczne. Trzeba myśleć trzeźwo o tem, co bliżej leży.

Ach, gdyby można się i tu obyć bez sił niesprzęgalnych!

Pisma donoszą, że na prośbę pewnego przełożonego szkoły prywatnej o równouprawnienie jej z gimnazyami rządowemi, ministeryum oświaty odpowiedziało, że każda taka szkoła może pozyskać równouprawnienie, jeżeli: 1) nauczyciele w dostatecznej liczbie będą mianowani przez kuratora okręgu naukowego; 2) przy egzaminach uczestniczyć będą delegaci rządowi z głosem decydującym; 3) właściciel zakładu wniesie do Banku państwa tytułem kaucyi 50,000 rs. Właśnie ten ostatni warunek, na siły jednostkowe za ciężki, wymagałby połączonych. Ale trzebaby pierwej zmierzyć pierwszy i przekonać się, że on nie udaremnia pomysłu w zasadzie. Przypuszczam, że skoro znalazł się człowiek, który tę sprawę poruszył, ten sam lub inny postąpi o krok dalej i zbada, czy istnieje możność zdobycia praw dla szkół prywatnych, a tem samem złagodzenia tej klęski, jaka u nas corocznie przygniata dzieci nieprzyjęte do gimnazyów dla braku miejsca. I z nią już oswoiliśmy się — a przecie jest to rana dokuczliwa i zabójcza. Bo ów brak miejsca objawia się już teraz we wszystkich niemal zakładach, tak, że nam grozi przymusowa ciemnota.

Wtedy zaś nietylko obrzydniemy sobie i światu, ale nie „przekarmimy wielkiej armii," którą *Nordd. Allg. Ztg* obiecuje nam przysłać w przypuszczalnej wojnie z Rosyą. Trzeba o nas dbać przynajmniej, jako o spiżarnię i śpichlerz.

Zawracając do dzieci uczonych, z wiadomością z nowym przekładzie *Iliady* przez p. Szmurlę, nasuwa mi się projekt, który nie ma nic wspólnego z grzybkami letniej pory i zasługuje na rozwagę. Jakikolwiek kierunek nadamy ogólnemu wychowaniu, w każdym pożądaną a nawet niezbędną będzie znajomość arcydzieł literatury powszechnej. Dotąd wszakże są one społeczeństwu naszemu znane tylko z drukowanej lub ustnej tradycyi, nawet te, na których oparty został obecny system szkolny. Uczeń, kończący gimnazyum, przestudyował kilka pieśni Homera, ale całego Homera nie czytał. Gdy go zaś wypuszczą z łaźni filologicznej, otrząsa on się tylko po tej kąpieli i traci zwolna tę wiedzę, którą go tam nacierano. Cóż mówić o utworach niegreckich i nierzymskich, których nigdy nie widział! Powtarza za innymi, że *Komedya boska, Don Kichot, Jerozolima wyzwolona* — to bardzo piękne rzeczy, ale ich nie oglądał i uwolniony z ciężkich robót szkolnych, opycha sobie głowę perzem dziennikarskim, który go drażni, narkotyzuje, ale nie żywi. Zachodzi więc pytanie: kiedy powinniśmy czytać stare arcydzieła literatury powszechnej? Mojem zdaniem— w dzieciństwie. Wysilamy dowcip na fabrykacyę rozmaitych powiastek i bajek dla malców, tymczasem sądzę, że nas w tej mierze doskonale wyręczyliby Homer, Cervantes i inni, dla dzieci obecnego wieku już przystępni. *Iliada*, jako zbiór trudnych form językowych, jako sprawdzian suchych prawideł gramatycznych, jako sposobność otrzymania w klasie dobrego lub złego stopnia — jest rzetelnie nudną, ale jako tkanka fantastyczna—piękna i ujmująca. Zaciekawi ona małych czytelników bardziej, niż smętne i mdłe powiastki o grzecznej Kasi i niegrzecznym Władziu. A więc? Niech który z nakładców, nieprzyzwyczajony chodzić jak zając wydeptanemi dróżkami, zacznie wydawać tanią bibliotECZkę dziecinną, zawierającą zrozumiałe dla tego wieku arcydzieła literatury powszechnej.

*
* *

Nie wiem doprawdy, dokąd bym zaszedł i jak pomylił sobie drogi, gdyby nade mną i nad pismem naszem nie świecił *Kuryer warszawski*. Poczciwy ten księżyc, który bądź sierpem kwadry, bądź całą tarczą, rozprasza nam ciemności, znowu zajaśniał mi wąską obrączką z za krzaków „odpowiedzi od redakcyi." Komuś — p. Wł. K.— tłomaczy on, że ja, dziwiąc się związkowi Towarzystwa łowieckiego z Towarzystwem opieki nad zwierzętami, zapewne nie czytałem ustawy pierwszego, bo chodzi o „poprawę zwierzostanu" a nie o „zabawkę." Być może, iż kiedyś z za tych samych krzaczków pogłębiona zostanie moja płytkość objaśnieniem, na co ów „zwierzostan poprawiamy," jeśli nie dla „szlachetnej zabawy." Dotąd bowiem mniemam, że nawet sułtan turecki, zaprowadzając las i obfity „zwierzostan" około swego Yldizkiosku, nie myśli o uszczęśliwieniu zwierząt, ale o własnej rozrywce. Uczyć się pragnę, płytkość nie zawsze przeszkadza mi być pojętnym, więc po należytym wykładzie gotów jestem każdej chwili zrozumieć, że gdyby ludożercy założyli Towarzystwo karmienia białych jeńców migdałami i połączywszy je z Towarzystwem pielęgnowania rannych, zjadali tłustych, jedynie „mieliby na celu poprawę ludzkostanu." Tymczasem muszę krzywą logiką podpierać głupie zdania, że człowiek może polować na zające i kuropatwy, może je zjadać, tylko niech nie paple, że czyni to w interesie zwierząt, ale własnym. Ochraniając zwierzynę jest przezornym gospodarzem, ale nie czułym jej opiekunem.

Naturalnie, czytelnik najlepiej zrobi, nie słuchając tej mojej gadaniny i wpatrując się w oblicze *Kuryera*, ile razy ono swą światłością mroki nasze rozproszy. Bo on mówi „prawdy, które mędrzec wszystkim ludom powie," a ja „takie, których mówić nie wolno nikomu."

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Szkoły prywatne. — Złe znaki. — Kłamliwe skargi. — Kto na nas nie jeździ. — Pożary. — Niefortunna obrona.

Pisma codzienne zauważyły w r. b. znaczny napływ dzieci włościańskich do szkół, podają one nawet pewne szczegóły zarówno o młodych kandydatach jak i o ich rodzicach, szczegóły wymyślone prawdopodobnie, bo lud nasz nie potrzebuje żadnych nadzwyczajnych pobudek, ale zawsze chętnie garnie się do nauki, jeżeli ma tylko sposobność jej nabycia. Są w kraju naszym gimnazya, jak np. maryampolskie, w których synowie włościan stanowią $^2/_3$ uczniów, jeżeli zaś w innych szkołach przedstawiają oni niewielki procent, to dla tego głównie, że zakłady te znajdują się przeważnie w miastach gubernialnych, gdzie utrzymanie kosztuje drogo i gdzie dostęp jest utrudnionym, nawet dla dzieci zamożnych. Szkoły prywatne powstają również w tych miejscowościach tylko, gdzie przebywa dostateczna ilość ludzi, mogących płacić sporo za naukę dzieci, zresztą nie dają one żadnych praw, bez których dla biedaka wiedza traci przynajmniej połowę wartości. Wprawdzie można temu zaradzić i pozyskać dla zakładu prywatnego prawa szkół rządowych, ale o to nikt się nie starał, a raczej nikt o tem nie wiedział. My uznajemy tylko „prawa historyczne," o zwyczajnych zaś słyszeć nie chcemy i korzystamy z nich wtedy jedynie, kiedy zysk lub wzgląd bezpieczeństwa zniewala nas do oddania się pod opiekę policyi. Pomijam uwagi, jakie nasuwa mi taka polityka i przechodzę wprost do rzeczy, która tak się przedstawia.

Szkoły prywatne dają wychowańcom swoim takie same prawa jak szkoły państwowe, jeżeli odpowiadają trzem warunkom: program powinien być jednakowy, nauczyciele zatwierdzeni przez władzę i egzamina poddane specyalnej kontroli delegatów rządowych. Dzisiaj już wszystkie szkoły prywatne w mniejszym lub większym stopniu muszą stosować się do tych wymagań, przyjęcie więc ich w zasadzie i ścisłe wykonywanie nie sprowadziłoby żadnej prawie zmiany. Jest wszakże jeden jeszcze warunek, dosyć trudny do spełnienia: utrzymujący szkołę złożyć ma

w banku państwa 50,000 rs. dla zabezpieczenia wypłaty pensyi nauczycielom. Nazwałem warunek ten trudnym do spełnienia, ale nie sądzę, żeby był on niemożliwym. Znaczna liczba szkół prywatnych na prowincyi nie jest wcale własnością prywatną, powstały one i powstają za staraniem i z ofiarności grup zbiorowych, w takim zaś wypadku chyba złożenie kaucyi jest rzeczą względnie łatwą. Rozumie się, że szkoły prywatne będą musiały pobierać większą opłatę aniżeli rządowe, mogą jednak one współzawodniczyć a nawet przewyższać je doborem sił nauczycielskich, porządkiem i troskliwą opieką. Wtedy przyciągnęłyby one znaczną liczbę dzieci zamożnych i ułatwiły biedakom dostęp do zakładów rządowych. Gdyby w każdym powiecie znajdowała się przynajmniej jedna szkoła średnia, dążenie ludu do nabycia wiedzy byłoby jako tako zaspokojonem, bo każda gmina niewielkim kosztem mogłaby utrzymywać choć jednego stypendyata. W Anglii z ofiarności publicznej powstają uniwersytety (jak np. londyński), olbrzymie biblioteki i muzea, setki czytelni publicznych itp. Ale po co szukać przykładu Anglii — w małej mieścinie sybirskiej, w Minusińsku, staraniem człowieka energii niezłomnej i dobrej woli, przy życzliwem poparciu ludności powstaje biblioteka, licząca 12,000 tomów i muzeum, które dziś już zwraca uwagę uczonych. Takie rzeczy są i u nas zupełnie możliwe—tylko, że nikt ich nie przedsiębierze, wskutek czego jesteśmy dziś, za wyłączeniem chyba albańczyków, narodem najmniej oświeconym w Europie, nie mówiąc już o tem, że jesteśmy również a może dla tego jednym z narodów najsłabszych fizycznie.

Fakt ten przyznaje dziś nawet *Kuryer warszawski* i to nie w suterenach, ale na pierwszem piętrze, w oddzielnym artykule, poświęconym tej sprawie. Lud polski wyradza się fizycznie nietylko w Galicyi, lecz i w Królestwie, jak o tem świadczą cyfry, zebrane przez komitet centralny statystyczny w Petersburgu. Marnieje więc już nie pewien odłam narodu, lecz całe plemię polskie, żyjące w najrozmaitszych społecznych i przyrodzonych warunkach. Z ogólnej liczby popisowych uwolniono od wojska z powodu małego wzrostu: w Rosyi europejskiej 1,2%, azyatyckiej 0,92%, w Królestwie przeszło 2% (w gubernii kieleckiej 3,76%); z powodu chorób i wad fizycznych — 14.52, 12,87, 19,47%, z powodu niedostatecznego rozwinięcia fizycznego — 15,13, 9,73 i 26,99%. Chcąc jakkolwiek wyjaśnić sobie przyczyny takiego smutnego stanu rzeczy, należałoby zbadać cyfry, dotyczące gubernij i powiatów, chociaż i wtedy stanie przed nami cały szereg zagadek, tylko już łatwiejszych do rozwiązania, ponieważ wyświetlenie stosunków miejscowych objaśni nieraz niewytłomaczoną z pozoru sprzeczność. Warunki ekonomiczne życia włościan w gub. kieleckiej tłomaczą, dla czego ta część kraju dostarcza tylu rekrutów małorosłych (3,76%) i nierozwiniętych fizycznie (33,16%), ale z jakiej racyi pod ostatnim względem przewyższa ją gub. lubelska (36,30%)? Tutaj dopiero zbadanie pojedynczych powiatów mogłoby nam dopomódz nieco w rozplątaniu wątpliwości. Gubernia piotrkowska, a nawet warszawska, w których znajdujemy znaczny procent ludności fabrycznej, przedstawiają się lepiej od wielu innych, np. od kaliskiej, gdzie uwolnionych od wojska z powodu chorób i wad fizycznych było aż 28,87%. Cyfry te należałoby zestawić z wykazami śmiertelności i umieścić je na tle warunków fizyko-geograficznych różnych części kraju, przedewszystkiem zaś trzeba myśleć nad niemi i robić cośkolwiek, robić chociaż jakkolwiek, nieumiejętnie, niewłaściwie nawet, byle ratować się, byle nie ginąć w gnuśnej bezczynności.

Przyczyny ekonomiczne grają tu bezwątpienia główną rolę, przyznaje to znowu nawet *Kuryer warszawski*, podkreślając zdanie, że „zachwianym jest byt materyalny najliczniejszej i najprodukcyjniejszej klasy w kraju.“ Ale są i inne przyczyny, których nawet w tak ogólny sposób określić nie możemy, których poznać nie staramy się wcale. Mamy np. towarzystwa lekarskie, lecz czy one kiedykolwiek zajmowały się zbadaniem warunków sanitarnych różnych miejscowości, czy obchodziła je hygiena ludu, nie mówiąc już o tem, że mogą również oddawać się badaniom antropologicznym, które rzuciłyby w danej sprawie niejeden promień światła. Wszystkie bowiem znane i nieznane przyczyny składają się na jeden niezaprzeczony objaw — osłabienia energii żywotnej narodu, uwydatniającego się we wszystkich sferach naszego bytu. Tłomaczy ono dlaczego ludność wielu miejscowości Rosyi, znajdujących się w gorszych ekonomicznych, klimatycznych i innych warunkach, ujawnia większą siłę odporną przeciw działaniu złowrogich wpływów zewnętrznych. Świadomość istotnego stanu rzeczy jest pierwszym krokiem dla zaradzenia temu wyradzaniu się plemienia, ale za nią powinna iść działalność inna, bo kłamstwem jest, że „społeczeństwo w danem położeniu znaleźć nie może żadnej rady.“ Niema takiego położenia, z którego nie byłoby wyjścia, trzeba tylko poznać dokładnie rozmiary i warunki zła, przy dobrej zaś chęci znajdą się zawsze środki przeciwdziałania. Nie jestem zwolennikiem lekarstw uniwersalnych, ale sądzę, że takie nawet niewinne środki, jak np. powszechne używanie łaźni, zmniejszyłyby znacznie procent niezdolnych do wojska, że zmniejszyłoby go również upowszechnienie oświaty, ułatwienie pomocy lekarskiej, zmiana warunków sanitarnych miast itd. Czy zaś działanie w tym zakresie jest niemożliwem dla społeczeństwa? Ale, niestety, ta część jego, która wziąć powinna inicyatywę, wyrodziła się także umysłowo i fizycznie, opuszcza więc ręce i skarży się półsłówkami na okoliczności niezależne, które w znacznej liczbie wypadków sprowadzić się dadzą do własnego jej niedołęstwa i apatyi. Czemu wreszcie, jeżeli nie brakowi energii w nas samych, przeróżne okoliczności zawdzięczają swe istnienie?

Czytelnik posądzić mnie może, że mówiąc o przyczynach drugorzędnych, zapominam o głównej — położeniu ekonomicznem ludu. Owszem, pamiętam o niej i ośmielam się nawet twierdzić, że i tu bardziej jesteśmy bezradni aniżeli skrępowani okolicznościami. Czy uderzyliśmy bodaj palcem o palec, aby ułatwić chłopom nabywanie ziemi? A jak pisma nasze przyjęły projekt banku włościańskiego? Czy założyliśmy jedną chociaż szkołę rolniczą dla ludu, chociaż od lat kilku wydana została ustawa, pozwalająca na to. Przykładów takich wyliczyć by można więcej, ale i te chyba wystarczą, o dążenie zaś do szerokich reform ekonomicznych nikt nas przecie przy najpomyślniejszych nawet okolicznościach nie posądzi.

Skargi na okoliczności osłabiają tę resztę energii, której brak nam we wszystkiem. Temu niedołęstwu naszemu przypisać należy, że ten na nas nie jeździ tylko, kto nie chce używać takiego powolnego i leniwego wierzchowca. Ale niemcy np., którzy lubią spokojną jazdę, osiodłali nas, jak należy. Komisya, o której pisaliśmy kilkakrotnie, wykrywa coraz to nowe fakty, nieznane a raczej nie ujawnione dotychczas. Oto członek jej, p. Janżul zwiedził 70 fabryk i we wszystkich znalazł księgi pisane po niemiecku, nawet książeczki obrachunkowe, przeznaczone dla robotników, drukowane były w tym języku; działo się to zaś nietylko w Łodzi, lecz i w Warszawie. Pisma nasze otwierają oczy ze zdumienia i dziwią się, jak gdyby tuż pod nosem podobne objawy nie powtarzały się na każdym kroku. W tych dniach widziałem właśnie rachunki jednej z największych fabryk warszawskich—rachunki z dostawcą — polakiem, zamieszkałym w Warszawie — pisane po niemiecku i na dokumencie tym znajdował się podpis, kończący się na „ski.“ Panowie ci, którzy się dziwią, nie wiedzą zapewne także o tem, że adwokaci warszawscy, zajmujący się sprawami handlowemi, posiadają blankiety niemieckie — nie dla klientów zagranicznych, ale dla mocodawców swoich z Łodzi, Sosnowic i Tomaszowa, a nawet i z Warszawy, ani też o tem, że z tymi samymi fabrykantami niektóre zarządy kolejowe prowadzą przez grzeczność korespondencyę w języku niemieckim. Czy tu okoliczności winny, czy nasze własne niedbalstwo, więcej powiem — nikczemność?

Ciekawe dane ze statystyki pożarów podaje sprawozdanie urzędowe za ostatnie sześciolecie (1879—1885 rok). Operacye ubezpieczeń obowiązkowych dały w tym przeciągu czasu 1,448,436 rs. straty, kiedy dawniej ze źródła tego rząd otrzymywał pewne zyski. Przyczyną strat jest bezwątpienia ta okoliczność, że budowle szacowane były za drogo i pożar stawał się korzystną spekulacyą. *Warszawskij dniewnik* podaje, że z ogólnej liczby pożarów trzecia część przypada na domy, należące do izraelitów. W gub. siedleckiej, w której straty były największe, zabudowania które spłonęły, oceniono na 2,800,000 rs., z tej sumy właścicielom żydom wypłacono 48%. Porównanie dwóch gubernij siedleckiej i lubelskiej dowodnie przekonywa, że większość pożarów jest występną spekulacyą. W obu tych guberniach nie było wielkich pożarów, jednakże w pierwszej, znacznie mniejszej, wypłacono 2,800,000 rs., w drugiej tylko 1,800,000 rs. W biedniejszej gubernii siedleckiej każdy budynek przeciętnie oceniony był na 489 rs., w lubelskiej — 358 rs., więc też w pierwszej z 36 nieruchomości płonęła jedna, w drugiej — z 52, w pierwszej podpalania stanowiły 22% ogólnej liczby pożarów, w drugiej tylko 12%. Dla czego istnieją te różnice? Zdaje się, że może być tu jedna tylko odpowiedź: zależą one od sumienności i pilności władz, które kontrolują sprawę ubezpieczenia obowiązkowego nieruchomości. Żydzi lubelscy nie odznaczają się jakiemiś szczególnymi przymiotami moralnymi w porównaniu z sąsiadami swymi z Podlasia, procent zaś ich w stosunku do ogółu ludności nie jest wcale mniejszy. Ale ponieważ szacunek domów ściśle odpowiada wartości, nie mają interesu palić swych zabudowań. Uwaga ta nie ma zresztą na celu zbijania znanego wszystkim faktu, że w pożarach spekulacyjnych główną rolę grają żydzi, chyba *Izraelita* tylko będzie innego zdania.

Pisemko to bezinteresownie przyjmuje obowiązek adwokata wszelkich win żydowskich, przyczem w zapale obrony, wbrew najoczywistszym świadectwom, twierdzi zawsze, że współwyznawcy jego nie przyjmowali wcale udziału w zbrodni, którą im przypisują. Zdarza się często, że nieudolna obrona zwiększa jeszcze winę oskarżonych; tak się rzecz ma właśnie w sprawie, o której pomówić chcemy. Pisaliśmy już poprzednio, że podczas pożaru Przysuchy, doprowadzony do rozpaczy, tłum żydów wrzucił w ogień współwyznawcę swego, człowieka obłąkanego, którego podejrzywano o podpalenie miasteczka. Obecnie *Izraelita* stara się uniewinnić żydów, twierdząc, że tłum, który wrzucił w ogień mniemanego podpalacza, składał się nie z żydów, lecz z motłochu miejskiego, dodaje wszakże, że Moszek Wolanowski, inaczej Zeigermacher nie był wcale szaleńcem, lecz człowiekiem rozsądnym i postępowym, z powodu swych przekonań nienawidzonym przez współwyznawców. Ci fanatycy prześladowali go w ciągu lat kilku i ogłosili wreszcie za waryata. Ponieważ chrześcianie, nawet

należący do motłochu, nie żywią szczególnej nienawiści do żydów postępowych, owszem wolą ich aniżeli zachowawców, trudno wytłomaczyć, dla czegoby zamordowali niewinnego zegarmistrza. Musi więc utrzymać się fakt, że w ogień wrzucili go żydzi, zwłaszcza, że *Izraelita* zupełnie bez dowodów temu zaprzecza. Pierwszy punkt jego obrony upada zatem, drugi zaś nadaje całej sprawie inny zgoła charakter. Czyn, który można było wytłomaczyć podnieceniem namiętności pod wpływem strasznej klęski, staje się objawem dzikiego fanatyzmu, zbrodnią potworną, spełnioną świadomie. Już to żydzi mają szczęście do obrońców, jak tylko który złamie kopię w ich sprawie, zawsze porani drzazgami bronionych. Skutek zawsze bywa jednaki, czy to czyni adwokat z urzędu w *Izraelicie*, czy też obrońca z wyboru, „młody ale wybitny (!) publicysta.“ Obrońca leje potoki wymowy i ogląda się z tryumfem, biedni zaś żydzi spuszczają nosy i półgłosem szepczą: „to za dobrze powiedziane, wygląda tak, jak by było zapłacone.“ O adwokacie z *Izraelity*, rozumie się, nie można tego mówić; on broni z urzędu, bezinteresownie ale nieszczęśliwie, bo również przesadza i chcąc wygrać sprawę — gubi ją całkowicie.

J. Nieborski.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Teatr. *Małaszka*, owa poczciwa *Małaszka*, której tylu ludzi chwilowo swój rozgłos zawdzięcza, ukazała się w przeróbce dramatycznej na scenie. Było dużo zapowiedzi, było osobne przedstawienie dla literatów, próbowano ją wyszrubować, ale smak odmówił służby. *Kuryer warszawski*, który przytoczywszy naprzód grube zdanie Lama o autorce, otworzył potem szpalty dla rycerskich przeciw nam turniejów, tak sądzi ową *Małaszkę*. Resztę (po za „prawdą szkolarską“ i „drobnemi obserwacyjkami“) wypełnia fantazya, tem tylko różniąca się od romantycznej, że ma wstręt do szybowania nad poziomami, a *upodobanie do błotnistych nizin*. Dodajmy do tego niezbędny dźwięk demokratycznych haseł, użyty dla retoryki teatralnej, tanie i zużyte kontrasty pańskich i chłopskich namiętności, a będziemy mieli receptę, podług której smażą się podobne utwory *przy niezbędnym ogniu zmysłowych namiętności.*“ „Psycholog ludu w powieści, ani w dramacie nie narodził się jeszcze; nim się narodzi, mogą roboty w rodzaju *Małaszki* cieszyć się powodzeniem rozdmuchanem reklamą stronnictwa, czy koteryi, ale to powodzenie nie będzie nigdy miarą talentu, który musi się zamanifestować czemś dojrzalszem“ — itd. Zdanie to jest zupełnie słuszne, ale czemu ono nie daje materyału do procesu o „dyfamacyę?“ Dziwna rzecz. Bo jakiżby z tych słów dał się wyprowadzić pyszny dowód „zniesławienia!“

Zabawy dziecinne w ogrodzie zoologicznym, utoczywszy dużo atramentu do sporów o ich właściwość, powtarzają się dalej. Nie zabieraliśmy głosu w tej rozprawie, ale z powodu trwających upałów pozwolimy sobie zrobić małą uwagę. Czy dzieci powinny tańczyć czy nie — mniejsza, ale co jest dla nich niezbędnem, to — świeże powietrze, którego w ciasnym Zwierzyńcu nie mają. Sądzimy przeto, że rodzice „małych Fikalskich“ zrobiliby dobrze, gdyby pomyślawszy o nogach swych dzieci, pomyśleli teraz o ich płucach. Przydałyby się biedactwu kolonie letnie.

Przywilej. Od lat kilku wychowańcy seminaryów duchownych prawosławnych nie mogli wstępować do wyższych zakładów naukowych, obecnie pozwolono im do uniwersytetu warszawskiego, ale tylko na wydziały filologiczny i matematyczny.

Pierwsza aptekarka. Departament medyczny pozwolił na złożenie egzaminu na profesora farmacyi p. Biegańskiej, która słuchała wykładów w Zurychu.

Szkoła ogrodnicza, istniejąca pod kierunkiem prof. Aleksandrowicza i p. E. Jankowskiego została zamknięta. Podobno władza właściwa zamierza otworzyć szkołę ogrodniczą rządową, ale dopiero po wzniesieniu dla niej odpowiedniego budynku.

Kilka tysięcy procesów. Nowa ustawa kolejowa, ogłoszona w r. ubiegłym oznacza roczny termin przedawnienia wszelkich pretensyj osób prywatnych do zarządów dróg żelaznych o przewóz towarów. Termin ten skończył się 20 lipca r. b., przed tem wszakże jeden z obrońców warszawskich wytoczył 1,400 spraw przeciw drodze terespolskiej i około 3,000 przeciw wiedeńskiej. Cyfry te jaskrawie malują porządek, jaki panuje na naszych kolejach.

Katastrofa. Na Wołdze niedaleko od Saratowa wszczął się pożar na parostatku, jakkolwiek niebezpieczeństwo nie było groźnem, pasażerowie w popłochu zaczęli rzucać się w nurty rzeki, wskutek czego około 200 osób utonęło.

Statystyka przemysłu. W r. z. było 332 fabryk, w których pracowało 14,135 robotników. Ogólna wartość produkcyi wynosiła 26,614,454 rs.

Sprzedaż ziemi polskiej niemcom idzie w Poznańskiem i w Prusach, jak donosi *Posener Zeitung*, „bardzo pomyślnie, tak że jest nadzieja, iż w r. b. własność polska zmniejszy się o 80,000 morgów.“

Bibliografia. Dr Aleksander Fabian. *O kąpielach elektrycznych.* Warszawa.

— S. Łapiński. *Tajemnice magii*, czyli zbiór wyjaśnień główniejszych sztuk i produkcyj magicznych (z 80 rysunkami w tekscie. Warszawa.

Zmarli. Butlerow, znany chemik, prof. uniwersytetu petersburskiego.

— Bernard Igl, znany oryentalista, niegdyś profesor uniwersytetu w Krakowie, później w Insprucku.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Rud. Bie. w Kijowie. Oba wyrażenia są używane przez pisarzów wzorowych, z jednaką słusznością.

Abonentce. Nie możemy tu wypisywać tytułów wszystkich dzieł Feuerbacha, które każda *Historya filozofii* nowszej wskaże. Cytata wzięta z *Wesen des Christenthums* i brzmi całkowicie tak: „Wer jetzt die Wahrheit sagt, der ist impertinent und ungesittet; wer ungesittet ist — unsittlich. Wahrheit ist unserer Zeit Unsittlichkeit.“

Złot. w Warszawie. Znakomitych opracowań nie ma, a tytuły istniejących znajdzie Pan u Estreichera.

P. Z. God. w Proskurowie. Pierwszy zeszyt *Logiki* z przesyłką k. 50; co do Prusa — nie.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Августа 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.